

W. WOJCÍK — Handel ziemią i walka chłopów. B. Dudziński — Sprawcy i ofiary wyzysku.
I. SIKIRYCKI — Jak fabrykant kandydował na posła. T. ORLEWICZ — Sejmy burżuazji.
R. HŁADKO — W terminie u A. Tolstoja. B. WOJDOWSKI — Pierwsze dni w Konotopie.
W. DRYGAS — Powiatowy czynnik społeczny. A. SAR — Obrazki z Dożynek w Krakowie.
Na Ogólnej Naradzie Przechodzących Nauczycieli. A. DRAWICZ — Wiersze o nowej wiosnie.
List z żelaznej kurtyny

WISŁA

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 21 IX. 1952 r.

Nr 38 (372)

21-IX Kongres Ziem Odzyskanych

NA FRONCIE WYBORCZYM

STEFAN SMOLICZ

Z powiatu Gryfice

DRODZY Redaktorzy z gazety pisarzy! Chciałbym Wam wiele powiedzieć o tym, czego my od Was oczekujemy. I czego również powinniśmy spodziewać się po nas, korespondentach chłopskich. Ja już w nieszczęściach mojego dzieciństwa miałem możliwość doznać szczęścia, które teraz panuje w całej naszej gminie Gorzyca, pow. Gryfice. Urodziłem się w 1922 r. Ojciec mój był gajowym w majątku Lecięszyn pod Nieswieżem. W 1935 roku zdegradował go dziedzic Czarnocki na fornała. Dzieci było sześciu. Musieliśmy więc paść u bogaczy i na folwarku krowy, bo ojciec dostawał 12 zł. miesięcznie i 1 q żyta. Ja jeden skończyłem 7 oddziałów kosztownej starszej siostry, która poszła na służbę i młodszego brata, który liczył tylko 2 oddziały. Pracowała cała nasza rodzina od 5-tej rano do 10-tej wieczorem. Ta praca i niedza, to było nasze i moje nieszczęście. A szczęściem, kiedy słyszeliśmy o 2 km (a już za granicą) i widzieliśmy kołchoźników radzieckich pracujących na traktorach i kombajnach. Wieczorem, kiedy myśmy jeszcze długo w polu robili stamtąd niosły się ku nam porywkawie pieśni i muzyka orkiestry kołchozowej. Takie u nich były wczesne wieczory. W 1940 roku i myśmy poznali życie spółdzielcze. Nasza wieś była pierwsze miejsce w powiecie. Przewodniczący i brygadziści drugiej brygady zostali zaproszeni do Moskwy na Wystawę P.ónów. Nasza rodzina wypracowała 900 dniówek. Dostaliśmy 40 q żyta, 20 q pszenicy, 15 owsa, 18 jęczmienia i po 4 ruble i 50 kop. za dzień w pieniądzu.

Zwaliśmy się nawała hitlerowska. Com przeżył — opowiem innym razem. Teraz wspomnę tylko, że z partyzantki nad Berezyną pospółdem do szeregów Wojska Polskiego w Kłowie. I w II Armii Wojska Polskiego brałem udział w wojach na terenie Czechosłowacji.

Po wyjściu z Wojska osiedliłem się w powiecie Gryfice we wsi Zielen. Nasza wieś już od r. 1950 jest spółdzielnią produkcyjną. Nie tylko nasza. Cała dziś gmina Gorzyca stanowi jeden wielki zespół spółdzielczy, 13 wsi — 13 spółdzielni i to nie były jakichś. W całej gminie indywidualnych chłopów pozostało tylko 60. A mamy już sporo starych dwu- i trzecieoicznych spółdzielni jak w Garbinie, Żelazie, Dziadowie, Skorach, Kładowie, Liwczach, Bielikowie, Trzeszynie i Zaczuszu.

Na to chciałem zwrócić Waszą uwagę, pisarze! Trzeba takie gminy odwiedzać w pierwszym rzędzie. Tu już spółdzielcze życie zobaczycie nie tylko w środku jednej wsi, ale wokoło od jednej do drugiej i dziesiątej. A zakładali je różni ludzie. Nie każdy miał tak, jak ja, tyle styczności

ze spółdzielczością, nie każdy znał ludzi radzieckich. Przyszli tu jednak na Ziemię Odzyskaną chłopci dzielni, zdolni do większej inicjatywy. Przyszli dawni biedacy zahukani ale pomoc Państwa i Państwa szybko w nich podniosła ducha i ożywiła instynkt klasowy. Ten trzon w walce klasowej, nie tylko zwyciężył mikołajczykowskiich nasłanów i kryjaków (bo tu się kryli przed sądem gromady na starych ziemianach), nie tylko ukrocił dorobkiewiczów i ich spekulacje, ale na Ziemiach Odzyskanych budował najwzrostniej i najmocniej bastion nowej siły Polski robotników i chłopów — spółdzielnię produkcyjną.

Co ja przyniosłem na Ziemię Odzyskaną w myślach i sercu — tu ziemię prastarą, wracając do macierzy, same rozdziały podobne dążenia wśród osiedleńców, a także wśród autochtonów. Na nowo zagospodarzyć... Któż nie pomyślał tu o przyszłości? Któż nie zmierzył swych czynów do zamiarów nowej Polski? Choćby w najgłębszej warstwie myśli odzyskał w każdym osadniku głos przypominający o władzy ludowej, której zawdzięczał nowe życie.

Drodzy pisarze! Ja myślę, że wyście również powinni się oprzeć na nas korespondentach ze wsi spółdzielczych. Gdyby zbierał literaturę naszych listów okazałaby się ona cennym materiałem, mobilizującym do rozwoju spółdzielni. Ten materiał wskaze drogi do uniknięcia błędów powstałych w pierwszych, pionierskich spółdzielniach. Pokaże, choćby na przykładzie naszej gminy, jak to wokół jednej spółdzielni ogromnie można nowe. I co to za potęga i rozmach kiedy cała gmina (13 wsi!) żyje jednym, nowym już duchem. Chłop polski tęskni dzisiaj do wiedzy i literatury, garnie się do prasy i uczy się z niej i z broszur nowego życia. Literatura przedwojenna obrazowała, oszukując, osiągnięcia kapitalizmu, a najczęściej tworzyła kroniki i historie rodów fabrykantów i obszarników, kroniki ich przódnaczych dni i hulaszczyczych noc.

Co trzeba zrobić, abyśmy się stali autorami takich utworów, jakimi są utwory radzieckich pisarzy jak: „Zorany ugór”, „Kawaler Złotej Gwiazdy”, „Jak hartowała się stal” i wiele innych, których znam dużo. Takie książki tworzyli pisarze, którzy długo przebywali nad Donem i Dnieprem, na Kaukazie i dalekiej Syberii. Tworzyli je z pomocą ludzi z kołchozów radzieckich, którzy wykwalifikowali nowy etap życia w cyfry i korespondencjach do gazet z myślą, jak pokonać napotykaną trudność, jak iść od zwycięstwa do zwycięstwa.

W naszej gminie, mamy taką nową trudność, którą powinniśmy i wy pisarze rozpatrzyć z nami. Gminna Rada Narodowa ma praktykę



w stosunku do wsi indywidualnych. I tak jest jeszcze nastawiona. A u nas wszystkie gromady (13) spółdzielcze i pięć PGR-ów. Powstało więc niedopasowanie. Przedstawia je na przykładach.

W wiosennej akcji siewnej nasze spółdzielnie walczyły o pierwsze miejsce nie tylko w gminie, ale i w powiecie. Prezydium GRN nie potrafiło jednak przeprowadzić wnikiwej, szczegółowej kwalifikacji. Podobnie było teraz z akcją żniwno-omłotową. Spółdzielnia Kładowa rzuciła wezwanie spółdzielniom całego naszego województwa szczecińskiego. Kładowo swoje zobowiązanie wypełniło. Ale walczyły z nią inne spółdzielnie naszej gminy i inne gminy.

I oto gmina Przybieszówka w podstawie zboża pokonała naszą gminę, osiągnęła 275% planu, a my 135. Zajęliśmy w miesięcznej kwalifikacji drugie miejsce. Na wczorajszej sesji GRN pokazało się jednak, że według obliczeń delegata z powiatu stoimy już na osiemnastym miejscu. Prezydium GRN gubi się więc w przebiegu naszego współzawodnictwa, nie zna terenu po nowemu, nie żyje zagadnieniem spółdzielczości jako głównym dla niej obecnie. Nie lepiej pilnował sprawy CUS, którego pracowników musiano zmieniać. A przecież w gminie spółdzielczej rosną nowe kadry. Naszych przodowników, brygadierów, traktorzystów, przewodniczących spółdzielni nie schowasz już pod korcem maku. A z nimi ma pracować Gminna Rada Narodowa, ze wsiami spółdzielczymi.

Stefan Smolich

JAKUB SAMOSZUT

Z powiatu Susz

Pamiętam dla mnie pozostałą wybióro do Sejmu w r. 1935. Podczas tych wyborów, gdyśmy przyszli demonstracyjnie do miejsceczka Kadmin nad Bugiem, na nas chłopów lała straż pożarna wodę, bo my protestowali przeciwko wybraniu Radziwiła, który się podał na kandydata z tych stron. Wspomagała nas Partia z podziemia ale porażki nie było mowa, kiedy Komisję jaką myśmy wybrali, zamknęli do więzienia. A jaśnie wielmożny wójt Ramdewicz Mieczysław, który przewodził z Zabłocia powiedział, że dla komunistów nie ma miejsca przy urnach. Brałem udział w wyborach do Sejmu Ustawodawczego w r. 1947. Ale tam było już inaczej. Już nas nie uległo mikołajczykowskiemu strzelaniu z kim idziemy. Myśmy wiedzieli z kim idziemy. I jakby przyszło nawet zginąć — byliśmy gotowi — bo władza będzie nasza. I nasze życie nie przejdzie marnie. Polska będzie robotników i chłopów, mocna bo ludowa — nie zagraniczna i pańska. Toteż my bronili sprawy wyborów i wpływu na ludzi mieli.

Wtedy to w tej walce wyborczej, gdzie u nas po kątach Lubelszczyzny wróg straszyl jeszcze rabunkiem, ogniem i strzałem, dojrzała w nas myśl aby wyjechać po wyborach na Ziemię Odzyskaną. Aby na mikołajczykowski „Nie” wobec najstarszych ziem Polski odpowiedzieć „Tak” — czynem. Przyjechał nas do wsi Brosiny (pow. Susz, woj. olsztyński) 27 chłopów z Lubelskiego.

Byliśmy spóźnieni o rok, dwa. Cięższe więc mieliśmy początki. Każdy zabrał po 10 ha, ale kulał rozwój trzody chlewnej i bydła, za mało bowiem dbaliśmy jeszcze o rozszerzenie okopowych i mieszanek. Jeszcze choć politycznie byliśmy świadomi, w gospodarce zaczęliśmy oddawać nas z powrotem w ręce wroga. Po ziarno siewne i potrzeby lataliśmy — biedniejsi — do bogaczy i spekulantów. Mówię tu nie tylko o naszej wsi ale o całej gminie. Biali się chłopci siewnika. Byli tacy, co nocą posłali ręcznie, aby ich nie nagabywać na siewnik, od którego — gadali — nie urodzi się. Kiedy Podstawowa Organizacja zaczęła namawiać do kontraktacji trzody chlewnej, szły plotki, że jeśli podpiszesz, zabiorą ci na kontrakt bez grosza zapłaty.

Dla nas przełomowym stał się rok 1949. Wtedy to powstał w naszej gminie Petruszowo Ośrodek Maszynowy a w 1950 r. POM. W tymże roku łamały się jeszcze uprzedzenia więc też i mocniej wystąpiły, tak co do maszyn, jak i kontraktacji. Ale obrachunek starej gospodarki był żalony. Z 270 ha (27 gospodarzy) zebraliśmy tylko 1.300 q zboża, sprzedali 22 tuczniki, krów ogółem mieliśmy ledwie 49 i 70 sztuk świń. I wtedy to wreszcie daliśmy ucho, temu co mówili Organizacja Partyjna. Zaczęliśmy się uczyć na błędach. Bo jakżeśmy mieli ich nie popełniać, kiedy sanacja zostawiła nam spadek analfabetyzmu i niedzy, która od upia i hoduje zacofanie. Zrozumielśmy, że polityki nie można odrywać od gospodarki. Pół roku przegadaliśmy o spółdzielni produkcyjnej a w 50-tych z wiosną założyliśmy ją.

Nie upłynęło jeszcze 3 lata a jakie zmiany wielkie przyniosły. W 49 roku słaby jeszcze był rozwój współzawodnictwa a już w 50 r. czuli się chłopcy w obowiązku dostawić od każdej krowy 2.700 l mleka, w 51 r. — 3.400 l. Tuczniaków każdy spółdzielca od siebie oddał na skup w 51 r. cztery razy więcej niż w 49. Rogaczyna powiększyła się nam w dwójnasób. Świnie trzy razy, owce — trzy razy, pszczoły — trzy razy, kury — dwa i pół. A kontraktacja roślin? Kiedy w 49 r. u każdego po parę arów złożyło się do kupy na 2—5 ha wszystkiego, to w r. 1951 w naszej spółdzielni mieliśmy zakontraktowanych: lnu — 7ha, rzepaku — 8, kartofli — 13, jęczmienia — 5, owsa selekcyjnego — 10. A zbiór zboża? Trzeba powiedzieć że od 49 do 51 r. podniosła się nam wydajność o 7 q na hektarze. W samym roku 51 o 3 q. I w tym roku myśmy do Spółdzielni Gminnej oddawali 1.100 q, kiedy w 49 r. cały nasz zbiór wynosił 1.300 q, a teraz równał się 2.600 q.

Nie myślcie, że nasze osiągnięcia są wyjątkowe. Są to osiągnięcia chłopów świadomych tego, że wrócili na starą ziemię ojczystą i że bronili jej mają pracą. Bronić tak, aby Polska była teraz ojczyzną ludu i jego szczęścia. Dlatego nie tylko nasze Brosiny zorganizowały się w spółdzielnię, w naszej gminie jedyna tylko wieś nie jest jeszcze uspołdzielczona.

Jakub Samoszut

JÓZEF SZAJNICKI

Z powiatu Głogów

Mocno nas w gromadzie zdziwił Wasz list, bo jak dotąd co najwyżej wiedzieliśmy o naszej wsi w powiecie, a w powiecie z tej racji, że nasza gromada wywodziła się z planów pierwsza w gminie. Co zaś tyczy się mojej osoby to z racji Krzyża Zasługi. Niech tylko nikt nie pomyśli, że ja starałem się o to odznaczenie. Pracowałem jako przodujący rolnik, ale do głowy mi nawet nie przyszło, że będę wyróżniony. Inna rzecz, że bardzo się ucieszyłem. Bo pochodzę z biednej rodziny. Matka moja przed wojną pracowała u bogaczy i obszarników. Pamiętam, jak sierpem za trzy snopy musiała zżąć 60. Jakież więc nasza praca miała wówczas społeczne znaczenie? Poniżona jałmużną trzech snopów za kopę w trudzie skoszonych. A teraz sierpy zastąpiła snopowiażka, z której w naszej gromadzie korzystamy już od kilku lat. Odznaczenie chłopu mówi, że dziś praca nasza to godność obywatela, co w największym chłodzi szacunek.

Wasz list, jak powiedział, zdziwił nas ale też ucieszył, że w samej Warszawie pamiętają o naszej Wólcie pod Głogowem.

Jak sobie żyjemy? Jeś mamy do syta i ubrać się jak należy. Stopa życiowa podniosła się nam ponad marzenia. Tak sądzić nie tylko po sobie. Otrzymałem tu około 5 ha a mam dziś pięknego konia, 2 krowy i 5 świń. Matka moja mieszka też w Wólcie i też posiada takie jak moje gospodarstwo, i tak samo jej się powodzi jak mnie, ma jednego konia, dwie krowy i trzódę chlewną. A jakby chcieć w krótkości opisać, jak ludzie u nas żyją, to wzięć należy pod uwagę ubiór. Dziś nie ma żadnej różnicy u nas między człowiekiem wiejskim a z miasta. Taka stopa życiowa. A jaki poziom gospodarczy i obywatelski? Choć u nas ziemia piaszczysta ale gromada w zeszłym roku wywodziła się pierwsza ze skupu i w tym roku tak będzie, a na słowie moim możecie polegać.

Co zaś tyczy handlu, to odpowiem Wam tak. Nadwyżkę do my nie wywozimy na boki, tylko do spółdziel-

ni. I uważamy że skup wolnorynkowy najlepiej jakby prowadziła Spółdzielnia Gminna, wtedy unikniemy spekulancja i wszelkiego rodzaju paskarstwa, jakie jeszcze da się zauważyć. Zakupy też by należało poprawić tak, aby wstawiano do sklepu towar nie był wykupywany przez bogaczy. Bo z takiego handlu żadna dla mało i średniorolnych przysługuje.

Jaka na to najlepsza rada? Taka, jaką dał Prezydent Bierut, że tam dobrze się gospodarzy, gdzie się mądrze gospodarzy. Myśmy za tą radą poszli.

Wasz list był na adres gromady indywidualnych gospodarzy a my jesteśmy już spółdzielnią produkcyjną. 27 lipca podpisało nas pięciu deklarację na zebraniu ogólnym. I zaczęliśmy organizować, tak że dziś mamy już swoją spółdzielnię. Wioska nasza nieduża. Do spółdzielni przystąpiło 13 rodzin, na boku jeszcze stoja Zabowski, Dzwonczyk, Dellimata, Jakimke i paru innych. Ale my już rozpoczynamy nowe życie, co najlepiej przekona jeszcze tych oczekujących. Bo nas też przekonał przykład — spółdzielnia w sąsiedniej wiosce o 4 km. Państwo dopomaga aby jeszcze podnieść stopę życiową ale to trzeba zrozumieć i pracować dla Państwa.

Jestem członkiem ZSL-u. Przez czas okupacji tom prawie zapominał pisać i czytać. Ale kiedy mi władza ludowa otwarła Ziemię Odzyskaną i kiedy tu zaczął pracować w sojuszu robotniczo-chłopskim, to dziś gdyby przyszła potrzeba — zasiąść mogłbym nawet w biurze. I nie ja jeden tylko, tak się podniosła wiedza i wyrobienie w całej naszej wsi.

Zawdzięczamy to naszemu Rządowi i Partii.

Przyjmijcie w Redakcji pozdrowienia z Wólki od członków nowopowstałej Spółdzielni Produkcyjnej, którą nazwalimy imieniem Traugutta.

Wólka spółdzielcza to nie tylko głos za Programem Wyborczym Frontu Narodowego! To poparcie czynne!

Józef Szajnicki

DZISIAJ, gdy ja prządką ZPB im. Róży Luksemburg w Łodzi patrzę na wspaniały rozwój naszej ojczyzny, widzę jak oibryzmia drogę zwycięstw przeszliśmy pod przewodem Partii i tow. Bolesława Bieruta od przedwojennych koszmarnych dni bezrobocia, nędzy i głodu. Jak pełną pierś wolności i człowieczeństwa oddycha i żyje dziś robotnik. A pamiętam tamte lata, kiedy w 1922 r., mając 16 lat, zaczęłam „naukę” na przedalniu. Dziś młody uczy się na prawdę i jeszcze mu za to płacą. A jaka była wówczas moja nauka? Na noc szłam do fabryki. Nie wolno było niby zatrudniać młodocianych w nocy, ale kto fabrykanta miał pilnować i sądzić? Na noc więc szłam do fabryki a w dzień do majątku Koeniga, buraki tam pellał. Ojciec nie żył, a matka niezdolna była do pracy. Musiałam na nią i na siebie zarobić. Powiadam wam, że chodziłam i spałam. Gdy matka mnie nieraz do pracy odprowadzała, mówiłam jej: Mam trzymać mnie za rękę i mów, kiedy będzie rynszok, bo ja śpię. Dali mi wreszcie maszynę. Eylałm wniebowzięta i ogromnie dumna. Robotnik kocho maszynę, pragnie się podnieść do poziomu techniki fabrycznej. Jak stara prządką obsługiwałam dwie strony. Czulałm w tym godność człowieka, mając 17 lat. Ale tę godność pochłaniał wyższy, poniewierala służba w ustroju krzywdy społecznej. Niedługo pracowałam jako prządką. Cała fabryka otrzymała umówienie. „Kto chce pracować musi przejść na obsługę trzech stron”.

Teraz już rozumielałam, co to znaczy. Wyrzucić część robotników, a część zmusić do wytężenia pracy, aby zastąpiła wyrzuconych. Skłócić u ten sposób silniejszych i bardziej sprawnych ze słabszymi i mniej zdolnymi. A na ostatek taką ceną bezrobocia jeszcze bardziej wzbogacić fabrykanta. Zaczęłam wtedy „pyskować”, ile ulażo.

Wyrobiłam sobie przez to opinię „komunistki” w administracji. Nie należałam do Komunistycznej Partii, ale ucale nie byłam od niej daleko.

W naszej rodzinie były już te tradycje. Nie jeden z moich krewniaków próbował więziennego chleba. Wiedzielałm więc jak cenić komunistów, jak cenić jedność klasy robotniczej, jakie znaczenie ma sojus robotniczo - chłopski, wiedzielałm, że jedność klasy robotniczej to pierwszy warunek naszego zwycięstwa.

Podczas okupacji żyłam z dnia na dzień w oczekiwaniu wolności. Przyszła ona wreszcie dzięki Związkiwi Radzieckiemu. W pierwszych dniach po wyzwoleniu zgłosiłam się do pracy w swojej fabryce. Był luty. Przez wybite okna wdzierał się mróz i śnieg. Pierwszą naszą robotą było uprząwanie szyb i oczyszczenie strasznie zaniedbanych maszyn. Znalazło się potem trochę surowca i fabryka ruszyła. Wtedy ulaśnie wstąpiłam do Polskiej Partii Robotniczej. Na wezwanie Komitetu Fabrycznego, aby zlagodzić trudności, wynikające z braku wykwalifikowanych przadek, przesłałam na 3 strony, choć tym razem nikt mnie nie zmuszał. Teraz mnie wzywała świadomość nowego położenia klasy robotniczej, nowej jej roli i nowych zadań. Walczyłm i budujęłm! Kierujemy i produujemy! Wychowujemy i pomagamy! Każdy nasz dzień pracy dla ugruntowania sprawiedliwości i dobrobytu w naszej ojczyźnie! Nie znalazłam się preto wśród ostatnich i wtedy, kiedy rozpoczął się pierwszy etap w półzawodnictwa. Od tego czasu zaczęłam siedem razy pierwsze miejsce. Cztery razy — drugie i trzy — trzecie. Wyrabiam przeciętnie 140 proc. normy. Staram się ulepszyć i usystematyzować moją pracę, by mniej wysiłku fizycznego trzeba było wkładać a więcej i lepiej produkować. Im więcej myślę o organizacji partyjnej, tym lepiej mi się zawsze pracuje.

W 1949 zostałam odznaczona Orderem „Sztandaru Pracy”. Organizacja Partyjna stawia mnie równocześnie na nowym odcinku pracy: instruktorki szkolącej nowe kadry przadek. Powierając mi tę pracę, wyrażała Partia i klasa robotnicza zaufanie, które jeszcze bardziej uprzytomniło mi odpowiedzialność, jaką my robotnicy podjęliśmy śmiało i z poświęceniem dla dobra narodu.

W naszych trudnych nieraz warunkach, gdzie są stare urzędnicy, w miesiącu sierpniu z 72 moich wychowanków tylko 8 przadek nie uciągnęło swoich rozszerzonych baz.

Do wyborów pójdę wraz z całą naszą grupą w pełnym przekonaniu, że przyszły Sejm będzie prawdziwym przedstawicielstwem naszego narodu, że za jego kadencji uykonyamy po pierwsze nasz plan 6-letni. (A już w pierwszych latach tego Planu zadania naszych zakładów zdobyła Standaard Przechodni CRZZ.) Po drugie za kadencji tego Sejmu przystąpimy do realizacji jeszcze uspanialszego Planu 5-letniego.

Dla tak pięknej przyszłości warto żyć, warto pracować ze wszystkimi sił i całym sercem.

BRONISŁAWA JACH - BORECKA
Prządką z ZPB im. Róży Luksemburg — Łódź

Mówi chłop

CZYTAJĄC ogłoszony przez prasę Program Wyborczy Frontu Narodowego przeżyłem uczucia dumy i radości. Oto i my, wzorując się na narodach radzieckich, również budujemy piękną ojczyznę, bogatą i szczęśliwą.

Dla nas ludzi Wybrzeża, szczególnie radosny jest fakt, że obok stolicy Warszawy, odbudowany będzie w najbliższych latach całkowicie nasz przastary polski Gdańsk i drugie wielkie polskie miasto portowe — Szczecin.

Dobrobyt wsi możliwy jest u nas dlatego, że władza spoczywa w rękach robotników i chłopów. W Programie Wyborczym Frontu Narodowego zapisana jest rzetelna prawda o tym, co uzyskaliśmy w sojuszu robotniczo-chłopskim. Dlatego my, chłopcy powinniśmy uczynić wszystko, żeby miasto nie odczuwało braku mięsa, chleba, czy mleka. Z kulakami i spekulantami potrafimy dać sobie radę.

Z rozmów z sąsiadami w naszej gromadzie Grabowo Pomorskie jak i w całej gminie Nowa Karczma, wiem, że wszyscy będziemy głosować na kandydatów, których wystawi Front Narodowy, bo w ten sposób idąc razem, chłopcy z robotnikami, wybierzemy Sejm, który poprowadzi nas do jeszcze lepszego życia.

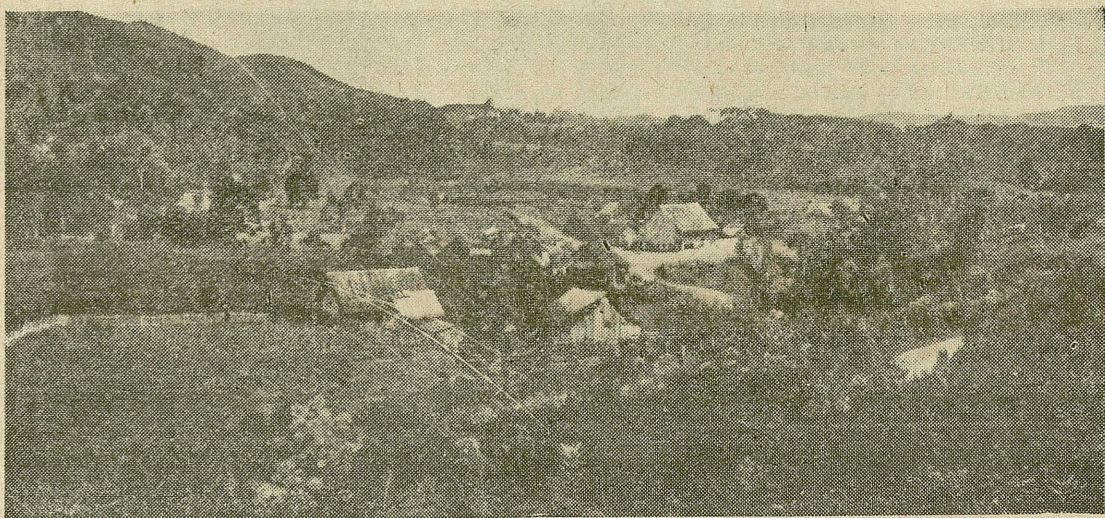
Gdy w 1947 roku wybory odbywały się pod znakiem walki o ugruntuowanie władzy ludowej w państwie, obecnie wybory odbęda się w warunkach, kiedy władza ludowa jest już ostatecznie utrwalona. Dlatego do wyborów nowego Sejmu naród polski idzie zjednoczony — w Narodowym Froncie walki o pokój i Plan 6-letni.

Nasz udział w światowym ruchu pokoju, w obozie państwa, skupionych dokoła niezwykłego Związku Radzieckiego, daje gwarancję naszej siły i naszego bezpieczeństwa. Słuszność naszej drogi porwała najszersze masy ludowe, przepojone ułmowaniem swego kraju ojczystego.

Wybierając nowy Sejm, naród polski ma świadomość historycznych zasług pierwszego Sejmu Polski Ludowej. Za jego kadencji dokonały się rewolucyjne przemiany. Uchwalenie Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej uwięczyło prace pierwszego Sejmu.

Za kadencji nowego Sejmu naród, pod przewodem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i ukochanego przywódcy polskich mas pracujących, tow. Bolesława Bieruta, wypełni zadania Planu 6-letniego i rozpocznie realizację dalszego planu budowy socjalizmu, planu r o z k w i t u Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

WŁADYSŁAW PATOKA
Grabowo Pomorskie, woj. gdańskie



WŁADYSŁAW WÓJCİK

List z Brazylii

Handel ziemią i walka chłopów

W ARTYKULE Waszym p.t. „PAN BALCER” zamieszczonym w 22-im numerze WSI obok moich „Listów z Brazylii” uderzyła mnie trafność oceny stosunków społecznych i gospodarczych panujących w Ameryce Południowej, co na ogół rzadko zdarza się pisarzom starokrajskim. Podkreślam ten szczegół z zadowoleniem.

Wszystko, coście w tym artykule opisali jest mi doskonale znane, jednakże korespondentowi mieszkającemu stale po tej stronie Atlantyku nie byłoby bezpiecznie naświetlać te zjawiska w podobny sposób. Dawno już przemigły te czasy, kiedy pisywałem z Ameryki Południowej o wszystkim, z czym się stykałem i zgodnie z własnym ludowym poglądem na rzeczy. Reakcja stała się dziś w najwyższym stopniu czujna, wrażliwa i mściwa. Nad pisarzem wychodzącym czuwa troskliwie opieka t.zw. emigracji londyńskiej, rozsianej po całym świecie kapitalistycznym i stuprocentowo sprzyjającej z reakcjami tubylczymi.

Mimo wrzaskliwej propagandy reakcyjnej mającej rzekomo na celu obronę własności prywatnej przed socjalizmem, prawo własności ziemskiej nie zostało w tym kraju bynajmniej uregulowane, co w rezultacie wytwarza sytuację wprost fantastyczną. Obszary niezaludnione w dawniejszych czasach, pokryte przeważnie dziczyznymi lasami, stanowią własność rządu (terras devolutas) i zostały nabyte przez wpływowych polityków za psi grosz. Kupowano w ten sposób od rządu tereny liczące po kilkaset tysięcy hektarów i nadawano im nazwy geograficzne, pod którymi zostały zarejestrowane w departamentach ziemskich odnoszących Stanów. Dzięki chaotycznie prowadzonemu katastrum, jeden i ten sam obiekt kupowało w biegnącym czasie kilku nabywców, którzy z kolei odstępowali je innym lub przekazywali spadkobiercom. Było to latyfundia całkowicie bezużyteczne, których nie eksploatowano, bo nie było do nich dostępu. Znajdowały się w odległościach liczących setki kilometrów od dróg kołowych. Nazywają je fazendami.

Gdy spojrzymy na mapę stanu Parany z roku 1922 zobaczymy w części północno-zachodniej kraju pusty obszar ujęty w kwadraty, prostokąty i romboidy, równe województwom w Polsce. Są to owe „fazendy” należące do spółek adwokacko-obszarników. Część ich odkupiła przed wojną kompania angielska i rozparcelowała między plantatorów kawy, przeprowadzając wprawdzie drogę żelazną i sieć dróg kołowych, przy których wyrosły nagle miasta i miasteczka. Resztę obszarów sprzedają obecnie kompanie tubylcze, handlujące już działkami.

Nabywcami działek „na mapie” są drobni rentierzy, lokujący pieniądze w nadziei wysokiego ich oprocentowania. Otrzymują w zamian prowizoryczne tytuły własności. Nabytym działką zazwyczaj na oczy nie widzieli, ale w razie zwyższo cen ziemi, (o co usilnie zabiegała kompanie drogą propagandy prasowej) odsprzedają je innym spekulantom, nieraz z 200 i 300 proc. zyskiem. Na tej spekulacji wychodzi najgorzej dopiero ów prawdziwy rolnik, który zakupił działkę z trzech lub czterech rak. Wkłada bowiem w nią swoje oszczędności, na wykarzowanie i założenie plantacji, napracując się jak wół, wreszcie po kilku latach dowiódł się, że jego działka należy do obszaru spornego, do którego roszczą sobie pretensje dwie lub trzy kompanie handlarzy ziemi. Następuje długi, przewlekły proces i wygrana ta kompania, której akcjonariuszem głównym jest najbardziej wpływowy polityk. O ile zatem przegrała kompania, od której osadnik nabył działkę, ta następna każe mu się z niej usunąć, lub płacić po raz drugi i to podwójną cenę... Wielu zabiera manatki i wynosi się z własnej ziemi, gdyż łatwo przewidzieć, że gdy za rok lub dwa zmieni się rząd stanowy, inna jeszcze kompania wznowi proces i każe mu po raz trzeci kupować tę samą ziemię, o wiele drożej, ponieważ jego własną pracę została bardziej zwaloryzowana!

Parę miesięcy temu prasa Kurytyby podała do wiadomości, że na zachodzie Parany zbuntowali się osadnicy podburzeni przez „agentów” komunistycznych, opanowali urzędy lokalne, rozbroili miejscową policję i zagroźli drogi, nie wpuszczając nikogo na swoje terytorium. Rząd stanowy wysłał ekspedycję karną, celem poskromienia buntu i aresztowania agitatorów. Wiadomość została zaopatrzona w soczysty komentarz na temat groźby rozruchów komunistycznych w głębi kraju i konieczności oddania się Brazylii w opiekę USA.

Pewnej deszczowej nocy zajechał do mego hoteliku zachlapany „jeep”, z którego wysiadło sześciu osadników pochodzenia włoskiego. Wrócili wprost z Kurytyby, dokąd jechali w delegacji od dużej kolonii położonej u średniego biegu rzeki Ivaí, właśnie w związku z owym rozrzedlanym buntiem... Z ich ustnej relacji dowiedziałem się dopiero prawdziwej historii jednej z takich, powyżej wzmiankowanych „fazend”.

Fazenda Uba obejmująca ponad 10 tys. ha została podczas wojny uznana przez rząd stanowy gub. Ribasa za obszar państwowy, gdyż władze ówczesne zakwestionowały legalność tytułu własności obszarnika Barbozy. Szała w owym czasie do zachodniej Parany duża fala migracyjna starych osadników ze stanu św. Katarzyny i rząd parański osadził ich na te-

renach owej fazendy. Byli to sami tędzi pionierzy, którzy w krótkim czasie zamienili bezużyteczną puszcza w oazę kultury rolnej. Wykarczowali dziczyznę bór i rozwinęli uprawę pszenicy, której temu krajowi brakuje rocznie ponad półtora miliona ton na wyżywienie ludności. Wszyscy ci osadnicy popłacili rzetelnie i gotówką za swoje działki.

Tymczasem w r. 1950 został wybrany w Paranie nowy rząd stanowy złożony z samych obszarników i handlarzy ziemią. Rząd ten przywrócił Barbozie tytuł własności fazendy Uba, po czym natychmiast jedna z kompanii handlujących ziemią z sąsiedniego S. Paulo zaproponowała mu wykup tych terenów i zażądała od kolonistów powtórzonego odpłacenia nabytych poprzednio działek, nota bene po znacznie wyższej cenie. Koloniści odmówili. Zaczęła się ofensywa szantażowa, prowokacji, pogroźki itd. Barboza przy pomocy „kapangów” (odmiana amerykańskich gangsterów) przystąpił do eksmitowania osadników, w czym władze lokalne szły mu całkowicie na rękę. Aliści tym razem obszarnik trafił na wyjątkowo solidarną gromadę, która nie uległa się winczestrów jego „kapangów” i zamiast uciekać w popłochu, jak to uczyniło w innych stronach wielu nieszczęśliwów, stanęła murem w obronie swoich siedzib. Co więcej, koloniści wywołili po jednemu zabójców Barbozy, odebrali im broń i uwięzili ich razem z delegatem policji i innymi czynownikami odpłacającymi przez obszarnika. Ta solidarna i zdecydowana postawa osadników wzięcia popłoch w sferach rządzących, nawet w Kurytybie i stał się wynikiem alarmująca wiadomość w gazetach o „buncie komunistycznym”. Przybyli na czele ekspedycji karnej major nie spotkał się jednak z żadnym oporem. Osadnicy oddali broń swoją i zarekwirowaną napaśnikom, natomiast zażądali gwarancji spokojnej pracy i wydaleń z okolicy kapangów Barbozy, w przeciwnym razie zagrozili odniesieniem się z tą sprawą wprost do prezydenta Vargasa. Obszarnik Barboza widząc fiasko swych gwałtownych poczynań przerzucił się do pertraktacji z kolonistami. Proponuje im dalsze tereny w zamian za bliższe komunikacji i zabrał się do tego zrzęcznie, jota w jota tą samą metodą, jaką obszarnicy w Polsce przełamali opór gromad chłopskich w sprawach serwitutów. Wybiera ich pojedynczo i kusi specjalnymi „dodatkami”. O ile uda mu się przełamać solidarność kolonii, reszta pójdzie gładko.

Parana nie posiada jednakże monopolu na tego rodzaju ekscesy; stanowią one cechę charakterystyczną ustroju znajdującego się w fazie przejściowej z kolonialnego feudalizmu w kolonialny kapitalizm. O kilka tysięcy kilometrów od Parany na północ znajdziemy te same stosunki. W ub. miesiącu wpadł mi w ręce numer dziennika „O Journal” z Rio de Janeiro, w którym znalazłem następującą notatkę:

„Bawi o tej porze w stolicy p. Udelino Alves de Matos przybył do Rio specjalnie dla wręczenia prezydentowi Republiki memoriału podpisanego przez 866-ciu osadników zamieszkujących w rejonie spornym, na pograniczu stanów Minas Gerais i Espírito Santo, którzy skarżą się na gwałty i nadużycia, jakich dopuszczają się w tej okolicy handlarze ziemią grożąc im wysiedleniem.

Wspomniany rolnik odwiedził wczoraj naszą redakcję i opowiedział nam prawdziwą odyseję, jaką przeżywał biedni osadnicy w powiatach Mantena, Barra de S. Francisco, Carlos Chagas i św. Mateusza. Wykorzystując wyjątkową sytuację, istniejącą na pograniczu tych stanów, bogaci posiadacze ziemscy starają się powiększyć swoje latyfundia w drodze wydziedziczenia drobnych rolników, którzy swoje działki wykarczowali i doprowadzili do stanu kultury. Obszarnicy korzystają w tej akcji z czynnej pomocy policji.

Władze policyjne — mówił Udelino Alves de Matos — mające nadwoku i interesy osobiste i swoich mocodawców, napadają osady i pojedyncze gospodarstwa leśne, położone na prawym brzegu rzeki św. Mateusza, niosąc za sobą groźbę i zniszczenie. Biorąc sobie za cel wystraszanie z okolicy rodzin osadniczych, terroryzują ich, burzą im domy, podpalają plantacje i wybijają inwentarz. Mało tego, aresztują jeszcze osadników i poddają ich chłostę w celu wymuszenia, nieraz pod groźbą śmierci, podpisów pod dokumentami wywłaszczającymi ich z ziemi na rzecz obszarników.

Od pewnego czasu dużo się pisze w prasie brazylijskiej o konieczności reformy rolnej, która by uregulowała stosunki przypominające średniowieczne „Dzikie Pola” ukraińskie. Pojawiało się nawet kilka projektów ustaw, natomiast sferę rządzącą zastrzegają się z góry, że bez uzyskania odpowiednio wysokiej pożyczki z USA, reformy rolnej dokonać nie będzie można.

Konia z rzedem i naszyjnik perłowy należałoby ofiarować temu, kto by odkrył w USA bankiera chętnego do finansowania reformy rolnej... w jakiegokolwiek części naszego globu.

Łączę serdeczne pozdrowienia.

Władysław Wójcik

OTTO JENICKE

List z za żelaznej kurtyny

Bonn, wrzesień 1952

DROGI PRZYJACIELU!

Obiecałem Ci, przy wyjeździe do Bonn, że napiszę stamtąd. Ale trudno mi zebrać się na list. Zamiast tego posyłam notatki z rozmowy, której byłem świadkiem, a która rzuca trochę światła na tutejsze nastroje.

✱

„Rzecz w tym — mówił Rudolf — rzecz w tym, że dziś nikt już w Niemczech nie wierzy w agresję sowiecką. Ani też nikt nie wierzy, by zbrojenia miały zapobiec wojnie”.

Siedzieliśmy we trzech w jednym z pokoi klubu prasy. Klaus — współpracownik dużego dziennika liberalnego z Kolonii; Rudolf — mój przyjaciel, szef i kolega redakcyjny w jednej osobie — i ja. W Bonn nie byłam od naszego berlińskiego spotkania na wiosnę. Powodem głównym jest, oczywiście, szczerła granica, jaką Adenauer przeciął nasz kraj. Elba rozlała się dziś na szerokość Atlantyku. Ale istnieje i druga przyczyna: nie lubię obecnie tego miasta o sztucznych i martwych pozorach stolicy. Zanim mi przypomnia — nie z wyglądu, co prawda, ale z klimatu, atmosfery i stylu życia — aż do złudzenia przypomina mi petainowskie Vichy. Przez Rheingasse, gdzie stoi domek Beethovena, uliczkami, których Heine szedł na wykłady Schlegla, rozjeżdżają teraz nowi okupanci. Zemsta losu, odpowiedź. Któż jednak nie widzący się czując jego palec na swojej głowie.

Zmierzch coraz gęstszy zapadał, w klubie panowała cisza, o tej porze było tu jeszcze zupełnie pusto. W kacie tykał leniwie dalekopis. Dziś w południe wystukał zapowiedź przyjazdu delegacji poselskiej NRD, a teraz powtarzał ospale komunikat policji o wczorajszych manifestacjach. Przy pomocy sikawek strażackich rozpedzono zebrany przed parlamentem tłum, ale rząd musiał się ugiąć, czego wynikiem było oświadczenie Ehlersa, że przyjmie wysłanników Izby Ludowej. Sikawki strażackie nie sięgają zresztą daleko: przez okno wychodzące na rzekę widnieje na drugim brzegu Renu, wysoko na szczytach wzgórz, ogromny, jarzacy się napis FRIEDEN. Takie jest saldo walki Adenauera z narodem niemieckim.

„...musicie zrozumieć — słyszałem głos Rudolfa — że cała ta heca odwetowa nie porwie ani chłopca, ani robotnika. Robotnika możecie zapędzić głodem do fabryki broni, ale nie skłonicie go, aby tę broń wziął do ręki. Dlaczego Adenauer nie wprowadza służby wojskowej?... Boi się... A chłopcy? Każdy z nich czeka tylko z drżeniem, kiedy i jemu zabiorą ziemię pod lotnisko, czy koszar. Wszyscy wiedzą, co było w Palatynacie i że Hohenfels nie stanowił wyjątku. Lotniska i czołgi... Czołgi nikt nie ugryzie i nie ubie-

rze się w skrzydło samolotu. Za lat kilka z zazdrością patrzeć będącicie na NRD, na Czechów, na Polaków nad Odrą, choć dzisiaj może zaciśkają pasy.

— A właśnie! — przerwał mu Klaus. — Tymczasem u nas w sklepach jest nawet luzno. Zona mówi, że nie ma prawie kolejek.

— Bo nie ma za co kupować. Wasza własna prasa oblicza bezrobotnych na pięć milionów. A z rodzinami — dwanaście. Ceny skoczyły w dwójnasób od czasu wojny koreańskiej. Łatwiej kupować, bo jecie o połowę mniej mięsa i masła. Czy głodem i bezrobociem chcecie wyszkolić żołnierzy?

Klaus zamyslił się. Rudolfa znał sprzed wojny, pracowali razem w piśmie opozycyjnym. Odtąd datawał się ich stosunek — prawie przyjaźni wyrosłej na dążeniu do wspólnych, jak sądzili, celów. Klaus hodował ją jako wspomnienie czasów, kiedy był „lepszy” i mniej przepojony goryczą. Została w nim, mimo wygodnictwa, pewna prawda wewnętrzna, którą Rudolf, twardy na ogół dla ludzi, starał się w nim rozdmuchać, a przynajmniej podtrzymać.

— Nie mam ochoty na wojaczkę — wyznał Klaus. — Ale nie mamy wyboru. Gdybyśmy odrzucili układ ogólny — coż nam zostanie? Propozycje sowieckie?

— Mówisz jota w jotę jak Adenauer. Zapominasz o jednym: że ludzie inaczej patrzą na ten wybór. Propozycje radzieckie są konkretne i rzeczywiste: zjednoczenie i pokój. A układ ogólny? Nawet wasz potulny parlament odkłada jak może ratyfikację.

— Wiem. Dlatego właśnie Adenauer tak się zapalił do „świątecznej idei” Schumana.

— Nie znam tego — rzekł Rudolf.

— Bo dziś dopiero wyszło to na jaw. „Wspólnota obronna” musi czekać na ratyfikację układu ogólnego u nas i we Francji. Więc Adenauer, Schuman i de Gasperi postanowili złożyć „wspólnotę polityczną” dla opracowania „konstytucji Europy”, a przy tej okazji montowania „armii europejskiej”.

— Krótko mówiąc — fakty dokonane. Dokładne kopiowanie Hitlera. Pamiętasz hitlerowskie prowokacje? „Polski” napad na rożniznę w Gliwicach? Tak się zaczęła nasza droga do norymberskich szubienic. Czy mamy ją powtórzyć? Po co te wszystkie zjazdy — Gdańszczan, Ślązaków i nie wiem już kogo, po co to antypolskie szczyty? Te drogowce w Zachodnim Berlinie: Koenigsberg — 520, Breslau — 290, Posen 220. Czy nie lepiej od tamtych szubienic zacząć?

— Mówisz jak dziecko! — zachnął się Klaus. — Szubienice stawiać może ten, kto ma w ręku władzę. Cóż z tego? Nikt nie wyrzeka się władzy dobrowolnie. A im gorzej rządzi, tym mocniej się jej trzyma, bo pachnie mu szubienicą. Dlatego

Adenauer robi wszystko, by naród nie doszedł do głosu. I robi wszystko, by nie dopuścić do zjednoczenia z tą częścią narodu, która do głosu doszła. I Amerykanie też wszystko robią, by mu pomóc. Są w tej samej skórze. Jak ognia boją się pokoju, bo pokój to krzyż...

— Nie dla każdego. U nas w NRD, czy u naszych sąsiadów w Polsce...

— Ale u nich — tak. Cóż chcesz, ustrój. I właśnie dlatego nie chcą czekać, aż twoi sąsiedzi wzmocnią się tak, że ich szanse spadną do zera. Już i dziś są niepewne. Więc pchają pieniądze w nasz przemysł wojenny, a naszym generałom dają wolną rękę na wschód: Szczecin, Poznań, Warszawa...

— ...i Ural — uzupełnił Rudolf. — Znam tę trasę, to właśnie droga szubienic. A na wypadek, gdyby to nie wyszło, obiecują wam zniszczyć Hamburg i Kolonię. Nasłuchiłem się dziś o manewrach...

— Których?

— W Nadrenii, Bawarii...

— Tak — skrzywił się Klaus. — Były już nawet zaprzeczenia i wyjaśnienia, ale blade. Chciej mnie zrozumieć — ciągnął po chwili — jestem stary liberał, nie znoszę wojny i dzisiejsza Ameryka przeraża mnie coraz bardziej. Nic nie rozumiem, z niczym się nie liczą, nie obchodzą ich wola narodów, uznają tylko siłę — ale rządzą. Wszyscy ich nienawidzą — ale słuchają. Zabrali nasz przemysł, siedzą w naszych finansach, trzymają nas za gardło — jesteśmy bezsilni. Jak Francuzi, Włosi, nawet Anglicy. Nie widzę wyjścia. Ludność się burzy, Adenauer pozornie ustępuje, a po chwili robi swoją i tylko zwiększa terror. Dla swoich celów Amerykanie zawsze znajdą dość ludzi.

Czy na pewno? Pomyśl, kogo mają za sobą? Adenauera, który bez nich nie utrzymałby się jedynego dnia. Generalów i przemysłowców. Niedobitki SS. To wszystko, Armia bez żołnierzy. I to jaka armia! Znasz historię „Kongresu byłych SS”? Miał się odbyć szesnego tygodnia w Hamburgu. Ale nic z tego nie wyszło, bo ich własni oficerowie zdefundowali fundusz zjazdowy. Amerykanie budują na zginiętych fundamentach. Są potężni. Mają w ręku aparat rządowy, policję, kadry wojska. To dużo. Ale nie wszystko. „Wierchowolki” drzew siły swe nie z gałęzi, lecz z korzeni czerpią! — pisał kiedyś Uhlend. A sprzymierzeńcy Adenauera u was, to wcale nie wierchowolki. To zgniłe liście. Bez narodu można długo rządzić. Przeciwnie narodowi już dużo trudniej. Chodzi o to, by nie ustawać w walce. Jak my nie ustajemy w pracy. Bo dla nas walką jest praca.

Rudolf zamilkł, gdyż weszło kilku dziennikarzy. Na ciemnym tle nieba płonęły w dalszym ciągu ogniste litery: FRIEDEN.

Twój

Otto Jenicke,

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Sprawcy i ofiary wyzysku

FILANTROPI w łachmanach — Roberta Tressalla — to książka o charakterze autobiograficznym. Nie popełnimy błądu utożsamiając — przynajmniej w cechach i rysach zasadniczych — jej bohatera — Franka Owena z autorem — Robertem Tressallem. Tressall — pisarz z „bożej łaski” — był robotnikiem malarskim, klepiącym biedę przez całe swe niedługie życie, wpływające w Anglii początków XIX wieku. Wyznawał poglądy socjalistyczne i nie krył się z nimi, co bynajmniej nie ułatwiło mu egzystencji. Nie był jednak typem bojownika-rewolucjonisty, który gotów jest brać się za bary z całym światem zła i niesprawiedliwości, przeciwnie — protest Tressalla ma charakter raczej samotniczy, indywidualistyczny, a taka walka w pojedynkę musi prowadzić do pesymizmu, rezygnacji i beznadziejności, do załamania się i zagłady jednostki, która nie wytrzymuje ciężarów i krzywd ustroju. Oto schemat losów osobistych autora „Filantropów”, które są zarazem losami bohatera książki — Franka Owena.

Pokazana przez Tressalla grupa towarzyszy pracy z firmy „Rushton i S-ka” — to w ogromnej większości element niezwykle uległy i zahukany, nieświadomy i konserwatywny, bytujący niemal w nędzy i w ciągłej obawie bezrobocia. Wysilki Owena by wywieść tych ludzi ze stanu bierności, o stworzyć im oazy na rzeczywistości społecznej opuszczenia, natchnąć ich wolą i pragnieniem walki przeciwko zdziercom i wyzyskiwaczom są ponne, odbijają się bowiem jak groch o nie wzruszoną ścianę iście niewolniczej „filozofii”. „Jak świat światem, zawsze byli biedni i bogaci i zawsze będą...” „Nie można się dziwić, że w tych okolicznościach współzucie i koleżeństwo Owena w stosunku do ofiar przedsiębiorcy Rushtona ustępuje nieraz miejsca odruchowi lekceważenia, ironii i pogardy. Ale takie wynikił uświadamiających prób Owena nie są przecież wyłącznie winą jego opornych w niewolniczej bierności kolegów. Obiektywnie na te sprawy patrząc trzeba dojść do wniosku, że wina leży tu po obu stronach. Frank Owen bowiem górujący

niewątpliwie nad otoczeniem inteligencją i zdolnością rozumienia mechanizmu kapitalistycznego ucisku, nie jest bojownikiem, aktywistą, zdolnym poruszyć gromadę robotniczą i poprowadzić ją ku wytkniętym celom. Owen wierzy głęboko w prawdę, pragnie gorąco wielkiej i decydującej przemiany społecznej, potrafi o tym wszystkim mówić i dyskutować, lecz brak mu siły i umiejętności do łamania przeszkód, które muszą być złamane, zanim ogłoszona prawda rewolucji stanie się prawdą rzeczywistą.

Bieda i niepewność jutra, ciężkie przejścia osobiste, choroba nędza — gruzlica i poczucie osamotnienia w walce, uważane z góry za przegraną — oto zespół przyczyn, które skłaniają w końcu Owena do decyzji samobójstwa. A ponieważ nie chce „pozostawić żony i dziecka wśród „chrześcijańskich wilków”, ponieważ pragnie uchronić swych najbliższych od dalszych cierpień, postanawia zabrać ich z sobą.

Tym tragicznym akcentem kończy się książka Tressalla. Jej współczesna wartość aktualną możemy zmierzyć konfrontując główne elementy rzeczywistości brytyjskiej sprzed r. 1914 i dzisiejszej. Wiele się oczywiście w niej zmieniło, ale nienaruszone pozostały ukazane takie przez Tressalla fakty wzrastających zysków burżuazji i nędzy mas robotniczych, żywotne jest także ciągle jeszcze przekłete dziedzictwo brytyjskiego reformizmu w ruchu robotniczym. Realistyczny i prawdziwy obraz życia robotników z Mugsborough, obraz tak dokładny, że nie brak w nim nawet analizy budżetów rodzinnych — oto pierwszy walor „Filantropów”, godnych uwagi jako studium społeczno-obyczajowe i pouczający przyczynek do poznania warunków bytu angielskiej klasy robotniczej przed r. 1914. Wysoko także ocenić trzeba demaskatorską wartość książki Tressalla, która z satyryczną pasją i godną uznania bezwzględnością ukazuje fałsz i obłudę burżuazji angielskiej, jej zakłamaną „moralność”, jej chciwość i egoizm przystrojone w pozory pobożności, „miłości bliźniego” i innych cnót ewangelicznych. Takie rozdziały, jak „Szkoła nie-

dzialna”, „Bandyci”, „Bandyci przy pracy” — to znakomite, ostre i celne pamflety, nieujące bezwzględnie lajdackie „profesje” rozmaitych Rushtonów i Sweaterów — przedsiębiorców, sklepikarzy, aferyzistów, pastorów itp., pasożytów społecznych, obrastających sadłem na koszt tysięcy prostych, uczciwych, ciężko pracujących ludzi. Kilkie rządząca w Mugsborough nazywa Tressalla „szatanami zawożącymi psalmy...” Trudno o bardziej obrazową charakterystykę tego środowiska, a podkreślić trzeba, że w istocie dotyczy ona „ojców” nie tylko tego jednego miasteczka.

Niezbyt jasny na pozór, ironiczny tytuł książki Tressalla tłumaczy się bez reszty po jej przeczytaniu. Rzeczywiście, pracownicy firmy „Rushton i S-ka”, podobnie jak ogromne zastępy towarzyszy ich proletariackiej niedoli — to prawdziwi „filantropi w łachmanach”; nie tylko swą codzienną pracą tuż wyzyskiwaczy, nie otrzymując za to godziwej rekompensaty, lecz ponadto odpłacając musz wysokie podatki na cele dobroczynności publicznej, której sprawami zarządzają ci sami wyzyskiwacze. A jeśli któremu z tych „filantropów w łachmanach” zabraknie pieniędzy, by opłacić przymusowe składki na... Fundusz Ubogich, musi odsiedzieć karę więzienną, bowiem tak każe burżuazja „praworządność”.

Oto są paradoksy socjalne, których źródła tkwią głęboko w samej istocie ustroju kapitalistycznego. Książka Tressalla, obnażająca śmiało zarówno te nieusuwalne sprzeczności, jak i ich ustrojową podstawę, zasługuje w pełni na przeczytanie i przemyslenie. Aż bolesna żarliwość przenika karty tej książki, nadaje jej piętno życiowej prawdy i okupuje sowiec wszystkie niedostatki realizacji artystycznej.

Bolesław Dudziński

*) Robert Tressall, „Filantropi w łachmanach”. Tytuł oryginalny: „The Ragged Trousered Philantropists” — Przetłóżył Wacław Serafin. Przedmowa opatrzona Karol Lapter. Warszawa „Czytelnik”, 1951, str. 392.

Wychować patriotów

PRZEMAWIAM jako nauczycielka, która za kilka lat opuści szeregi nauczycielstwa ze względu na starszy wiek. Jestem niezmiernie wzruszona, że uczestniczę w tej Naradzie Przodujących Nauczycieli.

Chcę poruszyć zagadnienie wychowania młodzieży w duchu patriotycznym. Bodać czy nie my — nauczyciele najmłodszych klas nauczania początkowego — jesteśmy najbardziej odpowiedzialni za patriotyczną postawę ucznia. Wiemy, że dziecko przychodząc do szkoły, ma siedmioletnie dziecko, nie ma jeszcze ukształtowanego pojęć miłości Ojczyzny — i my nauczyciele musimy tę miłość wzbudzić i wpielegnować. Ale jak do tego podejść?

Kiedy bierzemy dziecko za rękę, aby poprowadzić je na budowę, kiedy pokazujemy budujący się Lublin, gdzie zobaczy trud robotnika, trud murarza, gdzie zobaczy własnymi oczami wznoszące się mury, gdzie piosenka murarska stanie się dlań najpiękniejszą piosenką — to jest właśnie wychowanie patriotyczne. Kiedy na naszych lekcjach przeprowadzamy metody przodowników pracy, kiedy przychodzą oni do szkoły i dziecko w bezpośrednim kontakcie zwraca się do przodowników pracy i mówi: a jak my mamy zostać przodownikami? — to też jest wychowanie patriotyczne. Ale przede wszystkim my sami musimy kochać gorąco naszą Ludową Ojczyznę. Jeżeli serce polskiego nauczyciela bije tą gorącą miłością, to na pewno osiągnie on pozytywne wyniki.

CECYLIA GORNA
Lublin

Miczurinowska młodzież

W naszej pracy wychowawczej wielkie znaczenie mają ogródki miczurinowskie. Zaprawia się tutaj młodzież do kolektywnej pracy, a także uczy się orientować w otaczającym ją świecie, rozumieć przemiany przyrody i kierować przyrodą.

Nasz ogród szkolny istnieje trzeci rok, a powstał w warunkach ciężkich. Na początku nie było nic — tylko ruiny i zgłiszcz. Własnymi siłami doprowadziliśmy do porządku ogród przy dawnym dworze i postanowiliśmy zacząć w nim prace badawcze. Zastosowaliśmy od razu metodę Miczurina — aby wykaszać młodzież naczynia, co znacząco stosowanie przodującej teorii w pracy praktycznej. A będzie to miało — planowaliśmy — ogromne znaczenie i w samej nauce szkolnej. Nie tylko w biologii, lecz i w innych przedmiotach, bo młodzież przy doświadczaniu, musi poznać zasady choćby fizyki i chemii.

Zaczęliśmy od rzeczy najprostszej. Najpierw chodziliśmy do lasu, zbieraliśmy nasiona, braliśmy udział w zapyłaniu metodą Miczurina. Dziś, po trzech latach, mamy już 60 poletek doświadczalnych, i to nie byle jakich. Uzyskaliśmy np. nową odmianę pomidorów, którą otrzymaliśmy z przeszczepienia pomidora na ziemniaka, a która jest odporna na gnicie i może być przechowywana przez okres jesienny, a nawet przez zimę. Hodujemy winorośl, której mamy już ponad 1.000 krzaków. Szczególną uwagę zwróciliśmy na aklimatyzację roślin nowych, nieznanych, które są dopiero w badaniu — i na tym polu osiągnęliśmy już poważne wyniki. Mamy więc poletko ryżowe o pow. 25 m. kw. — ryż wykosił się i kwitnie. Zasadziliśmy sadzonki bawełny i — mimo niekorzystnych warunków klimatycznych (temperatura spadła poniżej jednego stopnia) — bawełna zakwitła i kwitnie dalej. Uzyskaliśmy więc odmianę, która wytrzymała mrozy i normalnie się rozwija. Ma to ogromne znaczenie gospodarcze — przecież bawełnę importujemy, a przed wojną szło na jej zakup 10 proc. budżetu. Dzisiaj w Puławach jest już pole bawełny i mam nadzieję, że za kilka lat pola nasze będą zasiane jej różnymi odmianami. To samo odnosi się i do innych ciekawych roślin. Wiemy, że brak jest tłuszczu i w Instytutach prowadzi się badania nad różnymi odmianami roślin olejnych. My te odmiany wprowadziliśmy na nasze poletki doświadczalne, jak np. uprawę dyni olejistej, której nasiona są bez łuski i można je od razu dawać pod prasę. Daje ona 40 proc. oleju. Roślina ta jest u nas jeszcze egzotyczna, ale w niedługim czasie uprawa jej będzie dobrze znana, tak jak uprawa rzącznika, który 20 lat temu nie był w ogóle w Polsce znany, a dziś jest uprawiany powszechnie. Współpracujemy ściśle z Instytutami naukowymi, które stale odwołują naszą szkołę. Profesorowie Uniwersytetu dają nasiona, pomagają i zawsze jesteśmy z nimi w kontakcie.

Jakie są perspektywy naszej pracy? Mówiłem już, że mamy 60 poletek doświadczalnych. Mamy też dużą ilość nasion i dobre warunki materialne, aby stale poszerzać prace doświadczalne. Ale najważniejsze, że mamy przygotowane dalsze pokolenia młodzieży, która zapaliła się do tego i będzie dalej prowadzić rozpoczęte dzieło.

Podczas ferii letnich nasz ogród nie był pozbawiony opieki. Róż się uwprost od młodzieży, która przychodziła do pracy, a często nawet stale mieszkala opodal. W zimie młodzież — chcąc uratować rośliny, które z takim trudem wyhodowała



Salyko — woj. opolskie.

Kaczorowska — woj. poznańskie.

Raszyński — woj. lubelskie.

Siekierkowa — woj. szczecińskie.

Piwocki — woj. zielonogórskie.

Rudzińska — woj. katowickie.

Rys. Binali Horst

Na Ogólnokrajowej Naradzie Przodujących Nauczycieli

GDY mówimy, że Polska jest wielkim placem budowy, że w kraju ongiś zacofanym i biednym wyrastają w niezwykle szybkim tempie fabryki, huty i kopalnie — to nie zapominamy, że Polska jest równocześnie i inaczej być nie może — placem twórczej przebudowy człowieka, przebudowy całego narodu, przekształcenia go w naród socjalistyczny. Nie zapominamy, że największą budowlą socjalizmu, to wolny, świadomy, pełen wiedzy, miłujący bezgranicznie swoją Ojczyznę, przepełniony internacjonalizmem, walczący o pokój, nienawidzący ciemnoty i wyzysku, stale dążący ku lepszemu, stale się doskonalący człowiek — że największa budowa socjalizmu, to wolny od klas antagonizujących, zwarty i twórczy naród socjalistyczny.

Dlatego to, gdy mówimy, że Polska jest placem budowy, to wiemy, że placem budowy socjalizmu jest także każda szkoła — że współbudowniczym jest i musi być każdy nauczyciel. A w takim razie jakże piękna i szlachetna, jak ważna i doniosła jest praca nauczyciela.

JOZEF CYRANKIEWICZ

SPOŁECZNE i polityczne znaczenie pracy nauczyciela-patrioty daleko wykracza poza ramy działalności czysto oświatowej. Szczególnie doniosła jest społeczna i polityczna rola nauczycieli w życiu wsi polskiej, to jest tam, gdzie toczy się ostra walka klasowa z kulakactwem i reakcyjną częścią kleru, a nauczycielstwo stanowi trzon naszej ludowej inteligencji.

EDWARD OCHAB

— okrywała je nocą przed przy-
mrozkami. Są uczniowie, którzy z
kolei przez osiem nocy chronili ro-
śliny przed mrozem przy pomocy
zaston dymnych — i uchronili. Kie-
dy była posucha, młodzież ustawiała
o 5 rano, wozila z rzeki wodę i
podlewała poletki.

W ten sposób staramy się rozwi-
jać postęp rolniczy — a równocześ-
nie wychowywać młodzież, aby u-
miała pracować kolektywnie, aby
rozumiała co to jest własność spo-
łeczna i umiała pomnażać dobro
społeczne.

Władysław Woroszyński
Czudec, pow. Rzeszów.

Kierujcie najlepszy h

Jestem delegatem województwa
olsztyńskiego. Piękny kraj, kraj lasów i jezior, wiel-
kich przestrzeni pól i łąk. I ja,
choć pochodzi z Lubelskiego, za-
kocham się w tych Mazurach i
Warmii.

Chcę tutaj podnieść te myśli,
którymi żegnał nas wiceprzewodni-
czący Rady Narodowej ob. Jakusz-
ko. Na tych ziemiach Mazursko-
Warmińskich za mało jeszcze ludzi,
za mało jeszcze nauczycieli. Przy-
jeżdżajcie tam, namawiajcie innych,
ażeby do pełna załadnili te nasze
Odzyskane Ziemie!

Dobrze się składa, że jest tu na
sali ob. Kruczkowski, bo chcę po-
wiedzieć, że za mało interesują się
literaci tymi ziemiemi, za mało pi-
szą o nich, za mało jest jeszcze za-
interesowania myśli polskiej tymi
ziemiemi odzyskanymi, pięknymi
ziemiemi, które mogą dać Polsce
ogromne bogactwa gospodarcze.

Mówię z ramienia szkolnictwa
rolniczego, bo jestem kierownikiem
Technikum Rolniczego w Dobrocinie.
Szkolnictwo rolnicze — to cał-
kowicie zdobyć państwa ludowe-
go. W tej formie i w tym zasięgu
nie istniało ono przed wojną, jest
ono wypracowane przez Rząd Polski Ludowej.
Jest to szkolnictwo bodaj najbar-
dziej zbliżone do warsztatów pra-
cy, w którym teoria łączy się bez-
pośrednio z praktyką. Przecież my,
na Ziemiach Odzyskanych, jesteśmy
włączeni w proces produkcji. Nie
tylko młodzież, ale i nauczycielstwo
pracuje w PGR-ach, spółdzielniach
i na poletkach doświadczalnych po
wszech.

Wielkie są nasze zadania. Dlatego
chcę zwrócić uwagę, że do szkol-
nictwa rolniczego, jak w ogóle do
zawodowego szkolnictwa, przychodzi
najczęściej młodzież, która nie ma
wyszych stopni nad dostateczne.
Jeżeli my wychowujemy kadry dla
rolnictwa socjalistycznego, dla spół-
dzielczości produkcyjnej, PGM-ów,
PGR-ów, to musimy mieć najbar-

dziej cenną młodzież. Tymczasem
często szkoły podstawowe przysyła-
ją nam obolwentów najmniej zdol-
nych. Błąd!

Wanda Grochowska
Dobrocin, woj. Olsztyn

Wśród wsi spółdzielczych

Nasz powiat ząbkowski liczy
99 wsi w tym 4 kolonie po
kilka zaledwie budynków
mieszkalnych. Na ogólną sumę 99
wiosek w naszym powiecie, mamy
92 spółdzielnie produkcyjne. Na te-
renie powiatu jest kilka szkół zawo-
dowych i wszystkie, jakby na
wspólny zew, jakby porwał ich wi-
dcher współzawodnictwa, starają się
ile tylko sił pomóc spółdzielniom
produkcyjnym.

Jak się do tego zabrali nasi na-
uczyciele? Powiem o naszej szkole.
Na cześć 60-lecia urodzin naszego
ukochanego Prezydenta nauczyciele
podejmowali u nas, jak we wszy-
stkich innych szkołach, zobowią-
zania. Między innymi nasza szkoła
podjęła zobowiązanie na sumę 40
tys. złotych, nie licząc dodatkowych
prac, które wymykają w międzyczai-
sie. A więc dwaj nauczyciele wy-
remontowali traktor sposobem go-
spodarskim, przy niewielkiej tylko
pomocy ośrodka maszynowego. Na-
stępnie nasi koledzy wraz z mło-

dzieżową ekipą wyremontowali szereg innych jeszcze maszyn rolni-
czych. Nie zapominamy też o tym, by
przy przeprowadzaniu remontów u-
świadamić — gdzie trzeba — chłopów
i przekonywać o wyższości gospo-
darki zespolowej. Mamy na przy-
kład pod naszą opieką wieś, gdzie
jest 100 gospodarstw, a zrzeszonych
— tylko 60. Każdy więc miał jakoś
zadanie werbować ludzi do spół-
dzielni. Co nam w tym pomogło?
Pomogło poczucie obowiązku, który
ciężko na każdym nauczycielu, obo-
wiązku kształcenia nowych ludzi,
kształtowania charakterów ludzi
Polski socjalistycznej.

Te wyjazdy dopomogły i naszej
szkole. Dzięki nim przekroczyliśmy
prawie dwukrotnie nasz plan nabo-
ru młodzieży. To jest konkretne o-
siągnięcie, bo trzeba wam wiedzieć,
że nasze województwo odczuwa o-
becną pewną zahamowanie napły-
wu młodzieży do szkół zawodowych.
Jednak propaganda szkolnictwa za-
wodowego daje swoje rezultaty.
Nie zawiedliśmy zaufania Rządu i
Partii i przygotowujemy nowe kadry
w pełni kwalifikowanych robotni-
ków, którzy staną do realizacji za-
dań naszego Planu 6-letniego, a w
przyszłości naszego Planu Pięciolet-
niego.

Jan Ziółek
Ząbkowice Śląskie
woj. wrocławskie

Szkoła i dom

Szkoła nie może istnieć bez do-
mu. Szkoła i dom to jedna rodzi-
na. Szkoła i dom potrafią wspólnie
budować jutro, do którego my
wszyscy całym sercem dążymy.

Pracując na wsi opolskiej, Jedni
ludzie przybyli tam z Bugu, in-
ni są miejscowymi Polakami. I oto

na terenie szkoły znaleźliśmy
wspólny język, i wspólne zaintere-
sowania. Dziś mogą się pochłubić
tym, że nasz Komitet Rodzicielski
jest naszym współkolegą, bo rodzi-
ce w naszej szkole pracują razem
z nami, jak nauczyciele.

Odbija się to w kółkach zain-
teresowań. Wyszukałam tu facho-
wość rodziców. W Komitecie rodzi-
cielskim mamy ogrodnika, mamy
stolarza, mamy krawcową, mamy
mechanika.

Kółko ogrodnicze prowadzi czło-
nek komitetu rodzicielskiego. Natu-
ralnie, nie bez nauczyciela. Jest w
tym kółku i nauczyciel. Ale jaka
jego rola? Nauczyciel staje razem
z dziećmi do pracy. Bierze za to-
patę, bierze za grabie, pracuje w
szkole.

Kółko stolarskie. Nie mieliśmy
go gdzie umieścić, więc umieścili-
my na strychu. Przygotowaliśmy
tam warsztat. Skąd go mamy? Da-
li nam rodzice. Tak samo narzę-
dzia. Obecnie kółko to obejmuje
24 uczniów.

Kółko ogrodnicze obejmuje 30
uczniów, kółko sportowe, które pro-
wadzi komitet opiekuńczy — 60
uczniów. Uczniowie ci należą do
Unii i nawet byli już w Opolu na
eliminacjach.

W ten sposób ułożyła się praca
i my stanowimy jedną rodzinę: ja
jestem razem z nimi, a oni są ze
mną. Wspólnie postawiliśmy sobie
hasło, że nasze dzieci muszą stać
się ludźmi, że każdy z uczniów
musi być nowym człowiekiem. Oni
się uczą i my się uczymy i wszy-
scy postanowiliśmy pracować i iść
za przykładem Nauczyciela naszego
narodu, Towarzysza Bolesława Bie-
ruta (oklaski).

Maria Stołyszko
Brynica, pow. Gubczyce

ADAM SAR

Obrazki z dożynek w Krakowie

Obejrzałem się raz, drugi. Tak, to Maria
Korneluk na trybunie honorowej. Zapa-
mniałem ją z wczorajszego spotkania z ro-
botnikami Nowej Huty. Maria Korneluk
ze spółdzielni Opole w powiecie włodaw-
skim patrzyła wczoraj śmiało na salę za
pełnioną po brzegi robotnikami. Śmiało
też przemawiała. O czymże to? Acha, ma
w chałupie małe dzieci, ale i tak w tym
roku wypracowała już 125 dniówek — „A
jak was teraz widzę bracia-robotnicy, ani
chybi, dorobię jeszcze 100!”

Na dożynki przybrała się w odświętny,
ludowy strój. Włożyła na siebie, co miała
najlepszego. Tam w spółdzielni Opole, w
powiecie włodawskim byłaby przedudnie
odziana. A tutaj? Rozejrzałem się po bło-
niach. Nie znajdziesz nazwy. Kobierzec?
Łan gorących kolorów? Sute, krochmalone
spódnice, zapaski, fartuchy, bluzki, gorse-
ty, staniki, czepki, chustki, wstążki. Ileż
tu wzorów, krojów i barw? Możliwy co
dnia ubierać się w inny, coraz piękniejszy
strój. Czy tak właśnie myślała Maria Kor-
neluk z „włodawskiego polesia”?

Dano zapowiedź. Będzie przemawiał
Prezydent. Maria Korneluk ujrzy Prezy-
denta Bieruta po raz pierwszy w życiu.
Właśnie wszedł na trybunę. Jakże Go so-
bie dotąd wyobrażała?

Widziała Prezydenta na wielu fotogra-
fiach, czytała przemówienia, słyszała może
w radio. Ona sama ma poważanie w spół-
dzielni, w gminie, mówią o niej w powie-
cie. Ale stąd do Belwederu jakąż jeszcze
olbrzymią przestrzęź, pomnożoną przez
wszystkie województwa. Prezydent myśli
o całej Polsce, o fabrykach, ile ich jest, o
maszynach dla wszystkich wsi, o nawo-
zach sztucznych rozsiewanych od gór do
morza. Jakby mówił o spółdzielniach pro-
dukcyjnych to też razem o wszystkich...

Maria Korneluk słucha, To Kraków, to
Błonie, ale ona jest teraz w Belwederze.
Pamiętała ten fragment, kiedy Prezydent
mówił:

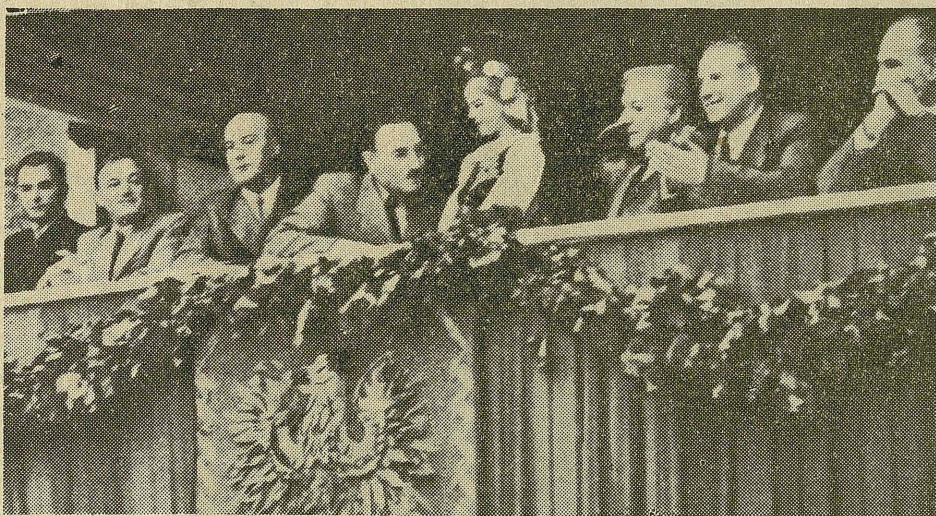
„Kobieta — chlopka i kobieta — robotnica
rodziły swe dziecko z troską i lękiem, że
czeka je poniewierka, krzywdą, niedzą —
jak wszystkie dzieci proletariatu i biedoty
wiejskiej. Takie to było życie pod władzą
obszarniczo — kapitalistyczną w okresie
reakcji i faszystów...”

Obejrzałem się, Maria Korneluk plaka-
ła, głośno, niewstydliwie.

Wokół niej plakały inne kobiety.

Po ukończonym pochodzie odnalazłem ją.
— No i co powiecie? — ręką zatoczyłem
łuk nad Błonią. A Maria Korneluk ze
spółdzielni Opole we włodawskim powiecie:

— Widziałam naszego Prezydenta, wi-
działam...



Fot. K. Jarochoński

Kombajn do lnu

Takich wąsów, jakie ma Wojciech Ka-
zibut, nie widziałem u żadnego chłopca z
powiatu olkuskiego. Wiechy po prostu, a
twarz duża, kragla, masowna. Siedzi wła-
śnie Wojciech Kazibut przy stole w Grand
Hotelu. Niedawno przeszły przed trybuną
ostatnie szeregi pochodu. W nich delegaci
Ziemi Krakowskiej — gospodarze Doży-
nek. Pewnie dlatego Kazibut, choć sam
jest gościem w wielkiej sali Grand Hotelu,
toczy po sąsiadach okiem gospodarza, co
to laskawo bardzo, ale i pochwały żądny.
Widzę — znalazł ofiarę.

— Wy ze spółdzielni produkcyjnej? —
pyta drobnego chłopy (na opasce — po-
wiat kozienicki).

— Jeszcze nie — a kiedy przypatrzył
się wiechom Kazibuta, jego masownej
twarzy i czarciemu uśmiechowi, dodał po-
spiesznie. — Ale skup zboża wykonujemy
w terminie. Sam jeszcze odwożę ze dwa
metry, a metr już dalem ponad plan...

— Bo ja — przerywa Kazibut — to ze
spółdzielni produkcyjnej z Łanów Małych
w powiecie olkuskim. Możecie przyjechać
i zobaczyć...

— A jak się wam widzą dożynki? — wla-
tuje kozienicki, aby zagadać kłopotliwy
temat.

— Co mi się nie mają widzieć. Już na
takich dożynkach byłem. W ubiegłym ro-
ku, w Poznaniu. A jakże. Drugi raz oglą-
dam Prezydenta. A i trzeci raz go zobaczę

dzisiaj na Wawelu, gdzie króle nasze ma-
ją pomniki. Mam ci zaproszenie, jako pro-
dowien w rolnictwie. Bo ja i na Ukrainę
wycechowałem.

Mały chłop z Kozienickiego zrobił się
jeszcze mniejszy. Ale uchem i okiem wi-
siał już na dobre u wąsów Kazibuta. A
temu to do graj. Najbliżsi sąsiedzi otoczyli
nas kołem.

— Jednakże w Nowej Hucie trzeba za-
stanowienia. Na Ukrainie widziałem moc
maszyn, w Poznaniu też ich huk przedsta-
wiali, a tu wczoraj stałem i pytałem musiałem
o czego to? A to był kombajn do lnu.
Rozumiecie... do lnu. Sto kobiet nie da mu
rady.

Teraz ja przerwałem Kazibutowi na-
głym pytaniem.

— A kiedy powstała wasza spółdzielnia
w Małych Łanach?

— Co? Kiedy? Niedawno, niedawno, bo
naród przekonać ciężko... ale powstała.
Będziemy siał razem jesienią.

Wielkość

Wracaliśmy autobusem z Nowej Huty.
Było to w przeddzień Dożynek. Słuchali-
śmy rozważań Stanisława Kęski. Nikt mu
nie przerywał, nikt nie dorzucał pytań.
Chłop myślał na głos. Od pewnego mo-
mentu zamilkły rozmowy. 30 delegatów z
różnych stron kraju poddało się szmerowi
tej nie głośnej mowy średniaka, który

rozmawiał sam ze sobą. Ten właśnie cha-
rakter wypowiedzi przykuł uwagę wszy-
stkich, nawet szofera.

Keska pamięta, jak wyglądał kraj, kie-
dy wyjeżdżał w Olsztyńskie. Pamięta jaką
dziczą i spustoszeniem wiało od jezior i
łąk w Sypanicy i jej okolicach w powie-
cie Ilawa. Pamięta, jak ożył ten kraj ludź-
mi, pracą, radością. Keska zawsze zdawał
sobie sprawę z tego co i jak się przemie-
nia. Zawsze też zdawał sobie sprawę na
co daje. O, w tym roku dał już sześć tuc-
ników ponad plan, łącznie o wadze 900 kg.
Postanowił również ponad plan odstawić
do końca roku 5.000 l. mleka. Tyle razy
sam na zebraniach gromadzkich i w gmi-
nie wymieniał nazwę Nowej Huty, symbol
budownictwa wielkiego przemysłu i pra-
cownic klasy robotniczej. Wreszcie ją zo-
baczył. Przeszła jego wyobrażenie. Myślał,
że to olbrzymi budynek, tak jakoś myślał,
jadąc do Krakowa. A tu dziesiątki olbrzy-
mich budynków, asfaltowe szosy, linie ko-
lejowe, warsztaty remontowe, bazy ma-
teriałowe, magazyny, żelbetonowe kon-
strukcje, dzwigary, kopaczki, stółki,
dalej pierwsza część miasta, które będzie
niemniejsze od Krakowa.

— Teraz — kończył — to mi się tak zda-
je, jakby moje 20-litrowe bańki na mleko
zamieniły się w kwatery, a tuczniaki w
trzytygodniowe prosięta.

Długo jeszcze trwała cisza. Pierwszy
przerwał ją poznaniak.

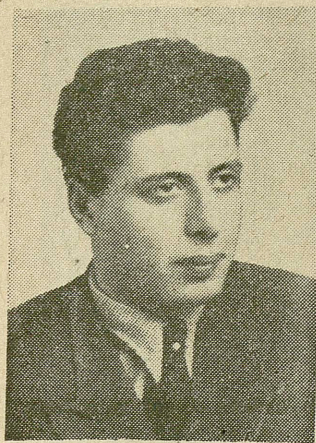
— Ziarnko do ziarnka a będzie miarka.
Niechby tylko każdy dał tyle co wy, a
najpierw tyle wyhodował, to nie będzie
czego się wstydzić wobec robotników.

Docekalam tego...

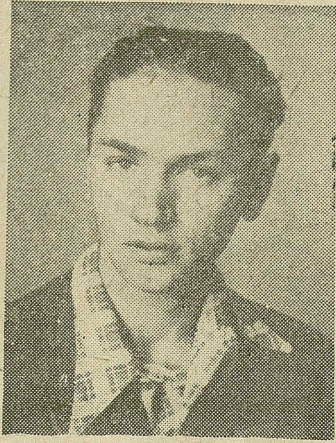
Było ich dwie. Jedna młoda, druga sta-
ra. Zauważyłem je dlatego, że młodsza
tańczyła. Na ulicy, wśród tłumu ludzi.
Tańczyła z radością. A stara uspakajając
ją to uśmiechała się, to łzę ronila. Młoda
nazywa się Alfreda Torka a babcia —
Stanisława Kowalińska. obie ze wsi Zu-
żele w powiecie opolskim.

— Mówili mi — odpowiadała Kowaliń-
ska — gdzie cię tam dopuszczą do trybuny.
Co by to było, gdy każdy chciał na wła-
sną rękę składać wieniec Prezydentowi.
Tożby Go nie było widać zza góry wień-
ców. I co powiecie? Jakiśmy szły w sze-
regu, a z bragaśmy szły. Jakiśmy tak pa-
rzyły w Jego oblicze aż do łez wytrzesz-
czając oczy — co powiecie — skinał nam
ręką Prezydent, zobaczył nas. I doczeka-
ł się na stare lata. Żem Go ujrzała tak,
jak was widzę i uściśkał mnie wieśniaczkę
spod Opola.

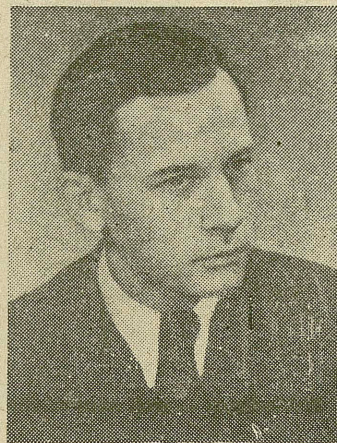
Adam Sar



Andrzej Mandalian



Wiktor Woroszyński



Andrzej Braun

ANDRZEJ DRAWICZ

Wiersze o nowej wiosnie

„WIOSNĄ SZESZCIOŁATKI” dawno sygnalizowany, niecierpliwie oczekiwany, dyskutowany już na Sekcji ZLP tomik kolektywu autorskiego — Braun, Mandalian, Woroszyński, ujrzał na rynku dopiero wiosną roku bieżącego. Tymczasem wiersze te powstawały rok temu z myślą o ich jak najszerszym wykorzystaniu — miały stać się fermentem ideowym, miały sprostać na swym odcinku zamówieniu społecznemu i wrócić tam, skąd wyszły — do fabryk, kopalni, spółdzielni produkcyjnych. I autorom i czytelnikom stała się krzywda. Niezależnie bowiem od wszystkich braków — „Wiosna Sześciolatki” może na pewno spełnić bodaj część tych zadań, które nakłada sięganie do największego tematu naszych czasów — tematu budownictwa socjalizmu. Tym bardziej, że zamierzenie to ma charakter eksperymentalny — każdy z wierszy tomiku jest bowiem owocem wspólnej pracy obserwacyjnej i uogólniającej.

W pierwszym rzędzie nie będzie tanim komplemентаłnawnie autorów za odwagę w atakowaniu spraw najbardziej zasadniczych, za nawiązanie do problemów współczesności. Jednakże realizacja zamierzenia trójki poetyckiej nie spełnia oczekiwań, idzie po mniejszej linii oporu niż można by się spodziewać.

Jak słusznie pisał w „Nowej Kulturze” G. Lasota „Wiosna Sześciolatki” nie stanowi kroku naprzód w porównaniu ze znakomitym „Dziś” Mandaliana, „Świt nad Nową Hutą” Woroszyńskiego i „Reportażem serdecznym” Brauna. Wiersze zamieszczone w tomiku są obciążone balastem indywidualnych błędów wszystkich trzech poetów w niemniejszym, a raczej większym stopniu. Wspólną cechą nowych wierszy (wyjątek stanowią tu niektóre utwory Woroszyńskiego i Brauna) jest ustawienie sobie zadania, poprzez obserwację i zachwyt nad wielkimi obiektami Planu, a dopiero na drugim planie — nad ludźmi, którzy je stwarzają. Nowy człowiek został potraktowany w pewnym sensie jako element produkcyjnego krajobrazu — element, zasadniczy, ale wyliczający się stopniowo, spod nawalu wrażeń, które w pierwszym rzędzie dyktują poetom wzruszenie i atmosferę wiersza.

Tam gdzie u podstaw ujęcia wiersza leżą konkretne sprawy ludzkie, problemy i trudności — a takich wierszy także nie brak w zbiorze — tam szanse na dobry wiersz bywają niejednokrotnie zaprzeczane z innych względów. Zarzut ogólnikowości, niepełności ujęcia krajobrazu wielkiej budowy odnosi się głównie do utworów Andrzeja Mandaliana. Jest to zjawisko dosyć niepokojące — umiejętność operowania realiami, oszczędna i przekonująca przeprowadzona konstrukcja losu bohatera, przy-

znie w oparciu o umiejętność sugestywnego podania treści wzruszeniowych, narzucenia atmosfery — która to umiejętność nie podbudowana pełnią bogatej motywacji politycznej potrafi się obrócić przeciw autorowi.

Należy także stwierdzić, że w wierszach Mandaliana występują objawy samozadowolenia, poprzestania na wcześniejszych osiągnięciach. Wskazuje na to nadużywanie określeń i konstrukcji metaforycznych, żywo przypominających „Dziś”, nie wykazujących śladów twórczej pracy pisarza nad wzbogaceniem swego języka poetyckiego.

Te ostre zarzuty dyktowane są troską o dalszy właściwy rozwój doskonale zapowiadającego się poety. W walce o nową, istotnie współczesną poezję, pozycje Mandaliana są pozycjami frontowymi, leżą na linii głównego uderzenia. Zbyt wiele od poety oczekujemy, byśmy mogli pozwolić sobie na pobłażliwą wyrozumiałość.

Zamykając ocenę można przecież zaaprobować niemal w całej pełni jeden z utworów — a mianowicie wiersz początkowy „Krajobraz ojczyzny”. Prawda, iż założenie którym było ogólne wprowadzenie czytelnika w atmosferę wielkich przemian, ustatkowane zostało obserwacją z okna wagonu, chwytającego tylko najistotniejsze elementy tej atmosfery. Konstrukcja taka, jak się przekonałszy, jest dla poety niegłęboka i nie zawsze wyjdzie mu na dobre. Tym razem jednak powstał wiersz, w którym ogólniki nie rażą, bo składają się na pelny „Krajobraz ojczyzny” — a mocne, agitatorskie zakończenie z włączeniem lirycznego „ja” może służyć jako przykład umiejętności wypowiedzenia mocnych słów bez niebezpieczeństwa deklaratoryzmu.

Wiersze Wiktora Woroszyńskiego mówią nam o innych nieco założeniach, które określiłbyśmy jako bardziej odpowiadające właściwej koncepcji tomiku. Przedmiotem ich staje się bądź człowiek jako typowy produkt przemian społecznych i awansu kulturalnego („Walerian Nowak”, „Do inżyniera”), bądź problemy przekształcania świadomości ludzkiej w nowy ustroj („Własność”, „Dziewczęta z Ostrowca”), bądź też wręcz konkretne przejawy „starego” („O tym też trzeba”). W ostatnim wypadku mamy zresztą do czynienia z pomyłką — autor ograniczył się do zebrania i zaryglizowania paru faktów niemal w formie gazetowej notatki, bez próby ich interpretacji — zaznaczając jedynie końcowy wniosek „walczmy z biurokracją”. Wiersz w którego przeprowadzeniu a zwłaszcza zakończeniu dźwięczą dalekie odgłosy „Posiedzenia” zyskałby na pewno na głębszym przemysłu metody Majakowskiego.

Są jednak wypadki inne, z końcowym wnioskiem bardziej dla autora pomyślnym. Dłacz-

IGOR SIKIRYCKI

Jak fabrykant kandydował na posła

Zamieszczamy poniżej dwa fragmenty widowiska estradowego, opracowanego przez zespół pisarzy łódzkich w ramach ich przedwyborczych zobowiązań. Widownia to stanowiła ambitną, pierwszą tego rodzaju próbę ukazania społeczeństwu idącemu do wyborów prawdziwego oblicza burżuazji.

Widowisko opracowali: Leopold Bek, Jan Huszcza i Igor Sikirycki przy współudziale Zygmunta Fijasa, Jana Koprowskiego, Marianna Piechała, Juliusza Salonięgo i Włodzimierza Słobodnika.

(Gabinet przemysłowca Stroman. Na ścianach rodzinne portrety. Stroman, tegi mężczyzna z bokobrodami siedzi w głębokim klubowym fotelu, zaciągając się dymem cygara. Otwierając się drzwi, w których staje lokaj w bogatej libe-rii).

Lokaj: Jasnie pan baron Beibler.

Stroman: (nie wstając z miejsca) Proszę.

(Lokaj z głębokim ukłonem znika w drzwiach. Do pokoju wchodzi baron Beibler. Szczupły, wysoki mężczyzna z monokiem w oku. R wymawia z francuska).

Beibler: Witam pana preza, pogratulować, pogratulować.

(Stroman unosi się w fotelu i ściskając dłoń Beiblera mówi).

Stroman: Bez przesady panie baronie! Jeszcze nie wiadomo. Być kandydatem na posła, nie znaczy jeszcze, że się zostanie posłem, nicht wahr?

Beibler: He, he, he, he, a to kpiar z kolegi prezesa, a raczej z kolegi posła. Znamy się na tym, przecież tę całe wy-

bory to tylko małeńka formalność, n'est-ce-pas?

Stroman: Oczywiście, oczywiście, przynajmniej, że formalność małeńka, ale za to kosztowna.

Beibler: Rentowna, chciał kolega powiedzieć.

Stroman: Rentowna swoją drogą, ale przede wszystkim kosztowna i właśnie w związku z tym chciałem z panem porozmawiać.

Beibler: Avec plaisir. Moje skromne kapitały są na pańskie usługi. W tak ważnej chwili gotów jestem służyć każdą sumą.

Stroman: Myli się pan, panie baronie. Nie chodzi mi o to, pieniądze są mi nie potrzebne, a zresztą cóż to za wydatek, skromne 50 tysięcy i wybory mam wygrane. Taka suma nie gra u mnie żadnej roli. Jest jednak pewne małeńkie ale.

Beibler: Ale, ale?

Stroman: Ale chodzi o to, że pan poza tym jednorazowym wydatkiem muszę sobie pozyskać jak największą ilość głosów, to znaczy ludzi na terenie swoich zakładów.

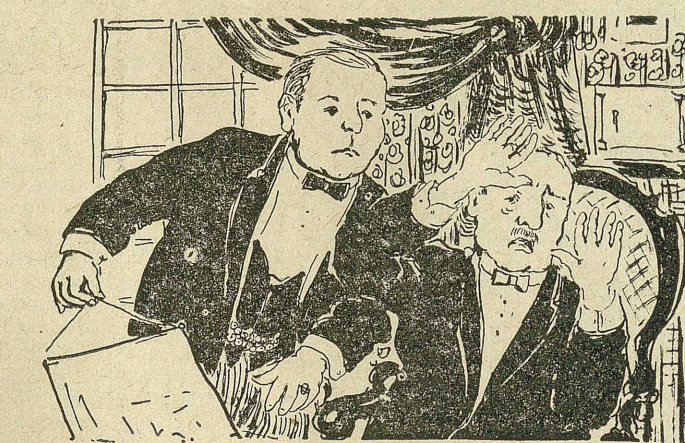
Beibler: To przecież drobnotka. Wystarczy małeńka

gratyfikacja, albo jeszcze lepiej przyjęcie na terenie fabryki, na którym da się za darmo dużo wódki. Stary wypróbowany sposób n'est-ce-pas?

Stroman: Za stary sposób baronie, za stary. Dlatego też wpadłem na coś zupełnie nowego, na coś co zdoła mi nie tylko sympatię moich lu-

ktem, nad „Redukcją nieletnich”. Co prawda tych nieletnich do lat 15 mam na fabryce nie więcej niż 30 osób, ale ich redukcja przyniosłaby mi około 20 tysięcy złotych straty. Na ich miejsce musiałbym przyjąć ich bezrobotnych ojców.

Beibler: Pan nie ma serca, panie Stroman. Pan chce



Rys. St. Gierowski

dzi, ale i szeroką popularność w kołach wyborczych.

Beibler: Umieram z ciekawości.

Stroman: Po prostu wezwalem do siebie delegację robotników i zapytałem ich o to, czy mają jakieś życzenia w związku z warunkami pracy.

Beibler: Pan rozmawiał z tą hałasną osobistością?

Stroman: Tak, osobiście.

Beibler: No i naturalnie wszyscy prosili o podwyżkę?

Stroman: Nie, właśnie, że nie. Natomiast posypał się szereg takich żądań, o których mi się nigdy nie śniło.

Beibler: Wyobrażam sobie.

Stroman: Ponieważ tych żądań było sporo, kazałem żeby mi w biurze wypisano je na specjalnej tablicy i właśnie teraz chciałem o nich porozmawiać z panem baronem nie jak z właścicielem konkurencyjnej firmy, a po prostu jak z przyjacielem, jak z życzliwym doradcą.

Beibler: Postaram się w miarę skromnych możliwości. Stroman: (wymijając z szufłady biurka zwinięty rulon papieru). A oto spis, o którym mówiłem: powiesimy go na ścianie, tak będzie najwygodniej. (Zbliża się do ściany i zawieszając na niej olbrzymi karton, na którym wypisane są następujące pozycje:)

1. Ochrona pracy 20.000 zł.
2. Redukcja nieletnich 20.000 zł.
3. Żłobek 10.000 zł.
4. Książki 500 zł.

(Beibler zbliża się do kartonu, czyta jednym tchem i gubiąc monokl odskakuje jak oparzony).

Beibler: Au nom de Dieu! Zgroza! To śmierdząca rewolucja. To komuna. To... to... Oj siabo mi...

(Stroman podbiega do niego, chwyta z biurka fiaszkę i daje mu do wachania. Beibler zrywa się niespodziewanie na równe nogi i zupełnie trzeźwo mówi).

Beibler: Projekt?ładny projekt! to straszny cios, który i tak nam od dawna grozi.ładne żarty.

Stroman: To są koszty, albo straty, jakie ponioslibyśmy przy realizacji żądań robotników.

Beibler: Niewiarygodne!

Stroman: Ale wykonalne. Na przykład pozycja 1. „Ochrona pracy” — za dwadzieścia tysięcy złotych mogłoby zabezpieczyć wszystkie maszyny i windy, przy których w ciągu zeszłego roku zdarzyło się 26 nieszczęśliwych wypadków.

Beibler: Pan oszalał. Rozumiem, że chce pan zostać posłem, ale z jakiej racji ja i inni fabrykanci mają za to płacić?

Stroman: Nie rozumiem. Beibler: Ale ja rozumiem. Chyba jest dla pana rzecz jasna, że jeśli pan dobrowolnie zabezpieczy swoje maszyny, to za parę miesięcy i ja będę musiał zrobić to samo i inni również, a przecież nas wszystkich nie wybierają na posłów naszej robotniczej Łodzi n'est-ce-pas?

Stroman: Tak, rzeczywiście nie pomyślałem o tym. Moje postępowanie mogłoby narazić mnie na złośliwe komentarze w kołach towarzyskich. No cóż jest na to rada — skreślić ten wydatek.

(podchodzi do kartonu i przekreśla pierwszą pozycję)

Beibler: I wszystkie następne.

Stroman: A może zastanowimy się nad następnym pun-

zwolnić z pracy nieletnich? Cóż z nimi będzie, panie Stroman, kto się nimi zaopiekuje? Trzeba mieć odrobinę łitości. Ja zatrudniam u siebie przeszło 40 nieletnich pracowników i ani nie myślę o redukcji. Trzeba mieć serce.

Stroman: W takim razie i tę pozycję skreślę.

Beibler: I następną, żłobek... Czy pan wie, panie Stroman, co to jest ten żłobek? — Bo ja to zupełnie nie wiem.

Stroman: No jak to, oczywiście, że wiem, to takie pomieszczenie dla małych dzieci matek, które pracują. Pomieszczenie z pielęgniarką, z lekarzem... Właśnie na to przeznaczym 10 tysięcy złotych.

Beibler: A na żłobek przy mojej fabryce też pan przeznaczył?

Stroman: Jak to?

Beibler: A no tak to, że jeśli pan u siebie założy żłobek, to ja również będę go musiał założyć u siebie.

Stroman: To niech pan nie zakłada.

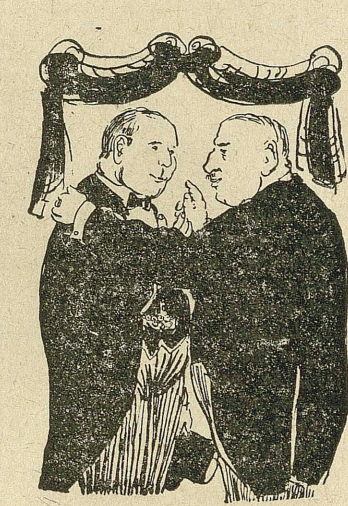
Beibler: Oj psuje pan robotników, panie Stroman, to się może zemścić.

Stroman: Jeśli chodzi o żłobek to i tak jest przecież ustawa, która zobowiązuje zakłady, w których pracuje więcej niż 100 kobiet do założenia żłobka.

Beibler: Ustawa jest, ale jest odraczana od 3-ach lat i dopóki będziemy mieli takich posłów jak pan kolego, będzie zawsze odraczana. Więc po cóż się spieszyć? A poza tym pocóż zatrudniać kobiety z dziećmi?

Stroman: No cóż, niby racja. Ale myślałem, że chociaż ten żłobek...

Beibler: Oj panie Stroman jaki pan przesadny, przecież



rys. St. Gierowski

cały żłobek to luksus, wyrzucanie pieniędzy i dla kogo?

Stroman: No niby racja.

(Podchodzi do tablicy i skreśla pozycję „Żłobek”). A te książki to już mój pomysł. Postanowiem kupić za 500 złotych książki i rozdać robotnikom.

Beibler: Ha, ha, ha, ha, ro-mantyk z pana, panie Stroman. Ha, ha, ha...

Stroman: Czemu się pan śmieje?

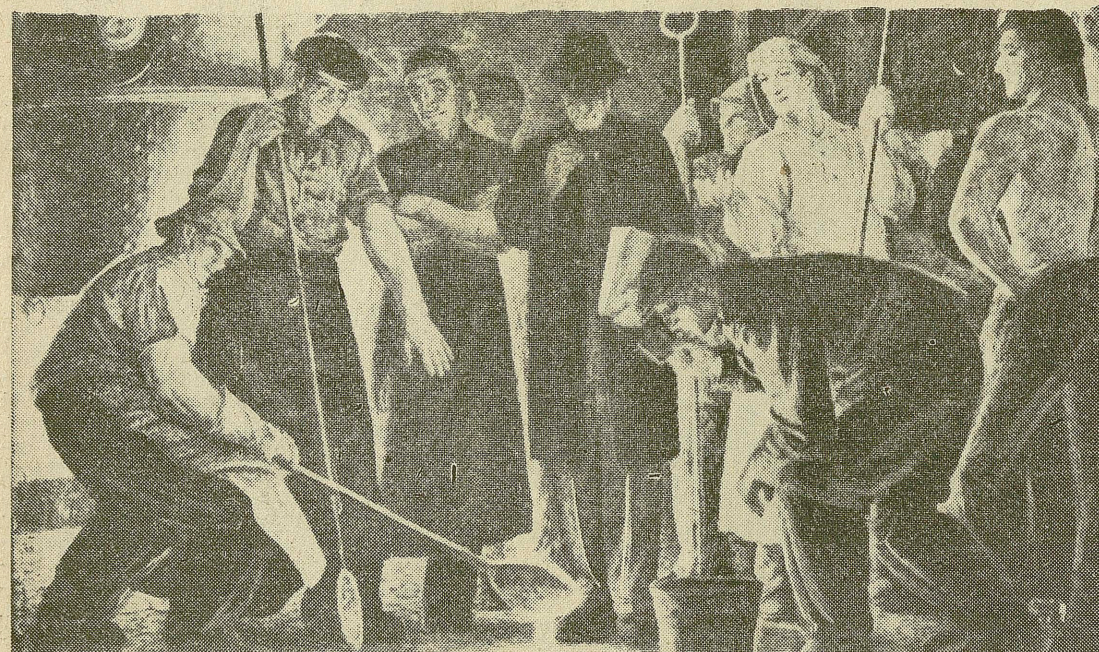
Beibler: Przecież oni nie umieją czytać. Robotnicy to analfabeci, a pan do nich z książkami ha, ha, ha, ha... Wie pan co, panie Stroman, mam lepszą myśl. Z całego budżetu zostało tylko 500 złotych. Śmieszna sumka. Ma pan dziś wolny wieczór?

Stroman: Owszem.

Beibler: Wobec tego wybiermy się na kolację do „Tivoli” i tam wypijmy zdrowie pańskich wyborców. Niech znają gest dobroczyńcy. Zgoda?

Stroman: Zgoda!

Igor Sikirycki



Mal. Albin Łubniewicz

niosty przecież utwór tak wybitny jak „Dziś”. Proporcje między faktami a oratorskim, tak charakterystycznym dla Mandaliana, komentarzem zostały w „Wiosnie” poważnie zakłócone, co każe ostrzec autora przed możliwościami wpadnięcia w latwinę, w sztampe. Takie wiersze jak „MDM” czy „FSO na Żeraniu” cechuje bowiem wyraźna zbieżność koncepcji — na początku, dobrze zarysowany element kontrastu, mówiący o tym, „jak to było dawniej” — a jak jest dziś”, środek zaś wypełniony dowolnymi, przypadkowymi skojarzeniami, mającymi stworzyć obraz opisywanego obiektu, w rzeczywistości zaś podkreślający jedynie jego nieistotność, drugorzędne elementy, bądź też usiłującymi wypełnić luki zawadiackim pokrzykiwaniem.

Podobnie jak przypadkowe kolekcjonerstwo traktorów pijących benzynę, pił warczących w warsztatach, mięśni chodzących pod skórą (sic!) — nie złoży się na obraz Żerania, — podobnie wykrzykniki aprobaty wymierzonej w kierunku murarek i dźwięgowych oraz pogroźki pod adresem „prywatnej inicjatywy” nie zastępują atmosfery MDM-owskiego rozmachu i entuzjazmu, o którą najwiślniej pocie chodzą. I w jednym i w drugim wypadku słusznie zamierzony, ale do końca nie przemysłany komentarz odautorski zawisa w próżni. Przy-czynny mogą być tylko jedne — spłykanie ideologicznych koncepcji wierszy, pójście na łatwi-

go bardziej — a nie zupełnie? Komplikatorstwo poetyckie, wybudła metaforyka to cechy stopniowo przez poetę odrzucone. Pozostała natomiast i przeszkadza czytelnikowi prozajczka, której autor „Września” wciąż jeszcze nie potrafi się wyzbawić. Nie tędy droga do uprząstaczenia wiersza, do zbliżenia go ku mowie potocznej. Jednym z najjaśniejszych tego przykładów jest wiersz „Walerian Nowak, dyrektor kopalni „Staszic”. Półsta tytułowa, jej trudności na odpowiedzialnym stanowisku, ujęte w formy własnych wypowiedzi i odautorskiego komentarza — wszystko to umieszczone jest w niesłychanie dowolnie przez autora kojarzonych szeregach rytmicznych. Mają się one widocznie rzadzić jakąś własną, wewnętrzną konsekwencją — w istocie nadają wierszowi cechy prozy i to bynajmniej nie poetyckiej, a po prostu niedbalej.

„Własność” — historia zmian zachodzących w psychice średniaka deklarującego swój inwentarz do spółdzielni produkcyjnej jest już o wiele bardziej przekonująca. Dział selekcja — sytuacja jest konkretna, i konkretnie są wahania chłopiejskiej świadomości — odskoczenie służy jedynie do podkreślenia nastroju, przez chwytywanie pewnych elementów krajobrazu. Wreszcie sam proces zostaje starannie wypunktowany i narzucony czytelnikowi przez sugestywne kontrasty sytuacyjne. (dokończenie na str. 7)

JAN HUSZCZA

Gazeta sprzed dwudziestu lat*)

Proszę kupować, proszę!

„IKC”, „Kurier Łódzki”, „Wolne żarty”, „Głos poranny”

za jedne dwadzieścia groszy dla pana, dla wdowy i panny! Najnowsze wiadomości, nadzwyczajne nowiny: Japończycy bombardują, płoną Chiny!

Dwaj mistrzowie kantu, szkiełko zamiast brylantu! Zepsucie wśród szkolnej młodzieży. Do klientów strzelać nie należy! Powstanie w Katalonii, układ „Wimy” z wierzyteli, Hitler chce władzy i kolonii! 5 minut z milionerami. Skandaliczna afra eksportowa. Co powiedziała Ciunkiewiczowa? Bezrobotni znów eksmitowani... Kupować i czytać!... Panu? Pani?

Inflacja w USA. 14-letnie prostytutki na ulicach Łodzi. Kopalnie stoją. Strajk górników trwa. Kryzys nie przechodzi!...Awantura w Genewie, co dalej, nikt nie wie... Najświeższe wiadomości, Laval w Londynie gości...

Zgon króla bankierów. Niedola techników i inżynierów, na 100 miejsc 9.000 kandydatów. Konkurs zjadaczy pączków. Ślub księżniczki w powodzi kwiatów. Otruła go ślubną obrączką! Z niedoszłym trupem rozmowa... Proszę kupować, proszę kupować!

Fala zatargów w łódzkim przemyśle. Fiasko strajku kotoniarzy. Poetka, pisząca wiersze nago. Zaostrzony strajk tramwajarzy.

Gangsterzy na ulicach Chicago. Wniosek o votum nieufności dla BB... Szanownemu panu „Kurier” czy „IKC”-e???

Porażenie prądem. Pierwsza kobieta — bandyta przed sądem! W Płocku rozpacz doszła do głosu: zdemolowano biuro pośrednictwa pracy, 57 oskarżonych osób! Redukcję w Krakowie, bez zasiłków pracownicy umysłowi... Nowa powieść: „Kobiety nie bij nawet kwiatem!” 7 samobójstw, zbrzydło im życie. Raut towarzyski w „Oazie” udał się znakomicie. Jeszcze jedna otrula się sublimatem, bezrobotna czy wariatka? Proszę pana, niech pan kupi... TO MOJA MATKA!

Jan Huszcza

*) Literacki montaż autentycznych tytułów z burżuazyjnej prasy polskiej.



Tadeusz Orlewicz

Mal. Wacław Dobrowolski

Sejmy burżuazji

POLSKĘ wykupują agenci Ameryki. Nie ma ani jednej fabryki, — pisze Lenin w roku 1918 — ani jednego zakładu przemysłowego, ani jednej gałęzi przemysłu, któreby nie tkwiły w kieszeni Amerykanów. Czyż za tak zwaną „pomoc” hooverowską po pierwszej wojnie światowej nie ustalono, że zadłużenie naszego kraju wobec USA wynosi 206 milionów dolarów? Czy z tytułu odsetek od owej „akcji ratunkowej” nie musiał płacić naród polski pół miliona dolarów rocznie? Dobrze na tym interesie obłowili się monopolisci amerykańscy.

A coż na to sejm polski, „najwyższa władza ustawodawcza w Rzeczypospolitej”? Potwierdza te transakcje, przyjmuje do wiadomości zakup towarów lichej jakości po cenie dwa i pół raza wyższej od normalnej. Przedstawiciele Sejmu asystują przy odsłonięciu „Pomnika Wdzięczności Ameryce”, pomnika oczywiście lichego, jak owa „pomoc”.

Monopolisci amerykańscy obejmują kontrolę nie tylko nad wydobyciem, lecz także nad rozdziałem węgla w zagłębiu katowickim i dąbrowskim, Harriman, obecny doradca Trumana i niedawny administrator planu Marshalla, kładzie łapę na ogromnej części produkcji polskiego żelaza, węgla, cynku.

Coż na to sejm, zgromadzenie „reprezentantów narodu”? Akceptuje ten stan rzeczy. Więcej — ułatwia na wszelkie sposoby penetrację Harrimanów, Flicków, Lubovitchów na Śląsk. W sejmie siedzą tacy jak Wierzbicki, prezes Lewiatana, agent wielkiego kapitału, i dziesiątki jemu podobnych.

Grupa Rockefellera monopolizuje przeróbkę polskiej ropy. Zyski z polskiego czarnego płynnego złota płyną do kieszeni akcjonariuszy amerykańskiej „Vacuum Oil Company”. A na wsi polskiej trzeba palić ropy. Coż na to sejm, „wybrańców narodu”? Ratyfikuje grabież, bo jest tam „chłopski” senator, Długosz, chemikler hofrat, nafiarcz z Bystrzycy i obszarnek z Górci, prezes dwóch towarzystw naftowych, bo jest z nim poseł Marian Szydlowski, właściciel drobnego kłosa ropy naftowej, obaj stali klienti Wall Street.

Toteż w kraju w październiku 1923 r. za dolara trzeba było płacić na giełdzie warszawskiej dwa razy więcej niż przed pięcioma miesiącami. Emisja banknotów sięga astronomicznej liczby 12 trylionów marek. Cena chleba podskoczyła sześciokrotnie. Liczba bezrobotnych w miastach przekroczyła milion. Fabryki pracują najwyżej 4 dni w tygodniu, bo przecież kapitał zagraniczny, — powiada Grabski — jest zainteresowany w tym, by Polska była konsumentem produktów amerykańskich, a nie konkurentem na rynkach międzynarodowych, bo rząd i sejm, rząd formalnie wolnego kraju, sejm formalnie wolnego narodu, znalazł się pod ścisłą kontrolą i kuratelą międzynarodowej finansjery.

Oto wielka afery Krugera, która zrujnowała poważną gałęź naszego przemysłu. Oto słynna żyrardowska sprawa Boussaca. Bezprzekładne machinacje podatkowe, okradające skarby państwa na grubo miliony. Bezpardonowy wysys polskiej robotników przez zagranicznych dyktatorów kapitału. „Są w Polsce takie fabryki — katownie — czytamy w jednej z odeszłych KPP w późniejszym okresie — gdzie za całodzienną, katorżniczą pracę robotnika otrzymuje 8 złotych tygodniowo. W przemyśle włókienniczym, tytoniowym i innych, gdzie masowo pracują kobiety, praca trwa po 10, 12, a nawet 16 godzin, niezadko bez nocnego snu i odpoczynku. W hutach szklanych po 10 i 12 godzin pracują 9-letnie dzieci”.

Gdzie jest sejm? Jak reaguje większość poselska na milionowe straty, poniesione przez naszą gospodarkę w afery szwedzkiego kosmopolity? Jak sejm reaguje na przestępstwa francuskich kondotierów kapitału, na machinacje łódzkiego Scheiblera i Grohmanów? Debatuje nad ustawami o ochronie pracy, uchwała je po to, aby nikł ich nie wykonywał, bo „demokratyzm — jak pisał Czerwony Sztandar — stał się konieczną papierową dekoracją dla ustroju”, dekoracją, która powiewała nad Polską nędzą, głodem, zaoferowaniem i zbliżającego się faszystyzmu, jak marny rekwizyt ogranego przedstawienia. O Kreugerach i Boussacach burżuazja i większość sejmu woli milczeć, bo z ich przeciecz i z im podobnych poręki siedzi na ławach poselskich i senatorskich.

Mamy rok 1925. Imperializm amerykański, obejmujący zwycięsko nasze życie gospodarcze, całą parą odbudowuje militarystykę niemiecką. Plan Dawesa niesie niemieckim odwetowcom sutę deszcz dolarów. Na tych miliardach pożyczkach z USA wyróżnia niedługo Hitler i jego machina wojenna. Polityczną nadbudowę planu Dawesa stanowią umowy lozarniejskie.

Jaka odpowiedź znajduje sejm polski na plan Dawesa, na Locarno, które zostawił junkierski Niemiec „wolną ręką” na Wschodzie? Na Locarno, które „brzemienne jest — jak mówił Stalin — nową wojną w Europie, jest planem rozstawienia sił do nowej wojny”? Hrabia Skrzyński w imieniu rządu polskiego podpisuje ten akt narodowego zaprzęstwa, a sejm, polski sejm ratyfikuje te umowy, które pozwalają Stressemannowi, ówczesnemu niemieckiemu ministrowi spraw zagranicznych, otwarcie domagać się na arenie międzynarodowej polskiego Gdańska, polskiego Pomorza i polskiego Śląska.

I właśnie w tym roku Polska zostaje „obdarowana” pożyczką amerykańską. Udziela jej nowojorski dom bankowy „Dillon Read and Co”, ten sam dom, którego dyrektorem Draper, już w randze generała US-Army, będzie po drugiej wojnie światowej jako wielokrotny monopolista amerykańskich w okupowanych Niemczech przygo-

towywać remilitaryzację Niemiec. Sejm zatwierdza tę pożyczkę, nędzny ochłap w porównaniu z pożyczką amerykańską dla Niemiec, ale za to przyznaje jej sześcioraznie wyższe oprocentowanie niż wynosiło normalne oprocentowanie w Stanach Zjednoczonych. Później przyjdzie inna pożyczka z tego samego źródła zwana jak na ironię pożyczką „stabilizacyjną”, dla której sejm znalazł zabezpieczenie w dochodach brutto kolei państwowych (ca 400 milionów dolarów rocznie) i w dochodach z akcyzy cukrowej.

Skąd te wyjątkowe warunki dla tych pożyczek, które przysparzały zysków jedynie monopolom, gruntowały władzę kapitału w Polsce, służyły wzmocnieniu aparatu wyzysku i terroru, a ogromem ciężaru ich spłat spadały bezpośrednio na barki mas pracujących? Poseł na sejm, teoretyk PPS, Perl pisał: „Nie chcemy, aby rewolucję tworzyła klasa robotnicza, która do tego jeszcze nie dojrzała”. Inny socjaldemokrata, Diamand, paktuje ze Stressemannem, z junkrami pruskimi, byle zdusić narastającą rewolucję, byle utrzymać się przy korycie, byle wspólnie przygotować uderzenie na ZSRR. Oto sens roboty burżuazyjnej większości sejmu w dobie planu reparacyjnego Younga, planu Dawesa i umów lozarniejskich. Bo interesy burżuazji były i są zbieżne z planami podpalaczy świata. Zdrada narodowa zbierała swoje ponure żniwo: finanse leżą na łeb na szyję, złoty spada, przemysł jest sparaliżowany. Państwo polskie, państwo burżuazyjnej demokracji wkroczyło w stan zupełnego rozkładu.

„Kapitał wymaga spokoju, w przeciwnym razie kryje się i ucieka do miejsc, które pod tym względem zapewnią mu bezpieczeństwo... Dopiero obecnie możemy dać kapitalistom niezbędną gwarancję ładu i porządku wewnętrznych” — pisał Roman Górecki, generał, odkomenderowany przez sanację do resortu polityki kredytowej, do Banku Gospodarstwa Krajowego. Podobnie mówił Daszyński, przywódca PPS, i Hipolit Gliwicz, reprezentant wielkiego kapitału, późniejszy wicemarszałek sejmu, jeden z nielicznych „tubyłców” w amerykańsko — niemieckim zarządzie potężnej „Wspólnoty Interesów”. Dopiero obecnie — to znaczy po zamachu majowym Piłsudskiego, po wprowadzeniu przez kapitał amerykański tego kondotiera do pełnienia dyktatury faszystowskiej.

I właśnie na pierwszy okres rządów Piłsudskiego przypada ostateczne przehandlowanie bogactw śląskich Harrimanom i Flieckom, oddanie pod kontrolę gospodarki finansowej kraju amerykańskiego „specowi” od grabieży, Deweyowi. A w sejmie Daszyński wita Piłsudskiego jako „wcielenie woli narodu do wolności”!

W nowym sejmie znowu zasiada: 30 wielkich kapitalistów i fabrykantów, 37 obszarneków z 12 księżkami i hrabiami na czele, kilkadziesiąt wyższych urzędników. I ludzie „nowi” — z pierwszej, drugiej i dziesiątej Brygady. W czwartym roku rządów sanacji ilość zarejestrowanych bezrobotnych wzrosła dwu i półkrotnie, a na Śląsku nawet sześciokrotnie. Kłowność w udzielaniu przez rząd coraz nowych koncesji kapitałowi zagranicznemu za zgodą sejmu, podwyższa się podatki dla ludności pracującej, darowując niemal cały podatek majątkowy magnatom. A sejm? Aprobował te posunięcia. Nie było bowiem żadnych wątpliwości co do roli Piłsudskiego, nie było już żadnych wątpliwości, że Piłsudski „pokonał w sensie wojskowym odłam wielkiej burżuazji musi teraz podporządkować się — jak mówił Stalin — politycznie temu samemu odłomowi i powlec się posłusznie za nim”.

I oto znowu w nowym z kolei sejmie i senacie obok Czerwonych, Wierzbickich, Gliwiczów, zasiadają ludzie z „przyszłością”. Switalski, ten sam, który w Krakowie zorganizuje wkrótce krwawą masakrę proletariatu, walczącego o elementarne prawa, Berezowski, agent anglosaskiego imperializmu, Kozłowski, niedoszły quiling w latach nocy okupacyjnej, Raskiewicz i Zalewski, późniejsi „prezydenci” w londyńskim hotelu Rubensa, Mikolajczyk i inni. Oni właśnie w sejmie Polski faszystowskiej organizowali „ład i wewnętrzny porządek”, który tak dawno był „oczekiwany” przez „centrum wyzysku światowego”.

Taki to był ich ład i porządek. Kapitaliści zagraniczni wysysali z Polski międzywojennej 2 miliardy złotych w złocie rocznie. W siódmym roku dyktatury faszystowskiej ogólne zadłużenie Polski wobec zagranicy wynosiło 8,5 miliardów złotych, a więc cztery razy więcej niż roczny budżet państwowy! Kiedy w Związku Radzieckim otwarto 585 nowych gigantów przemysłowych, u nas za sprawą karteli i koncernów zamknięto 598 fabryk. Z istniejących 26 pieców hutniczych zdołano wygasić już 20. Spożycie artykułów przemysłowych w latach 1928 — 1936 spadło o połowę. Spadła też poważnie ilość zatrudnionych w przemyśle wielkim i średnim. Głód, nędza i terror były udziałem podstawowych mas ludu pracującego miast i wsi.

A sejm? Sejm uchwałiał, dekretował, razdził. Nad podniesieniem zysków kapitału. Nad pogębeniem robotników i chłopów. Bo był to sejm burżuazji i kliki wojskowej. Sejm mianował. Za zgodą i poparciem takich sejmów zagraniczne koncerny i kartele dawały życie gospodarce naszego kraju.

Pisał 20 lat temu Broniewski: „Tuż się Łódźka tuś Scheiblerzy, Im tylko radość z naszej niedoli, Nam na ulicach — konającej kopyta...”

„Węgiel dobywa Zagłębie, Zagłębie dobywa śmierć”.

Tadeusz Orlewicz

RYSZARD HEADKO

W terminie u Aleksego Tolstoja

OMÓWIENIEM „Drogi przez mękę” Aleksego Tolstoja rozpoczynamy cykl artykułów, poświęconych tym powieściom radzieckim, które weszły na stałe do klasycznego kanonu literatury realizmu socjalistycznego. W ostatnich miesiącach na naszym rynku księgarskim pojawiło się kilka wznowień i pierwodruków tłumaczeń najwybitniejszych, często dotąd mało u nas znanych radzieckich pozycji klasycznych; nie doczekaliśmy się one jeszcze obszernego omówienia w naszej prasie literackiej. Artykuły cyklu „W stronę radzieckiej klasyki”, sięgając do bogatej trzydziestoletniej tradycji literackiej, mają za zadanie prześledzić etapy kształtowania się realizmu socjalistycznego w ZSRR, ukazać nieprzemijające znaczenie arcydzieł radzieckiego piarstwa, a przede wszystkim wydobyc z nich te wartości, które wspomagają nas dzisiaj w kampanii o podwyższenie ideowego i artystycznego poziomu polskiej literatury współczesnej w walce o pokój i socjalizm.

W ALKA o ideową i artystyczną jasność naszej młodej literatury realizmu socjalistycznego, o „równanie w górę” — do poziomu „Pamiętki z Celulozy”, „Biegu do Fragała” i „Pokolenia”, walka — słowem — o literaturę pod każdym względem godną naszej epoki, stanowi obecnie naczelną zadanie frontu krytycznego. Już dawno schematyzm — pierworodny grzech naszej prozy — zakwalifikowano jako zjawisko



o charakterze wybitnie ideologicznym, nie dające się zamknąć w li-tylko warsztatowych kategoriach. „Pierwszą i najważniejszą jego przyczyną — stwierdził J. Putrament — są braki natury ideologicznej”. Schematyzm rodzi się z nieznajomości naszego życia współczesnego, nierozumienia jego procesów rozwojowych, z interpretowania ich przy pomocy zwulgaryzowanych tez pseudomarksistowskich. Jest w literaturze radzieckiej pisarz, który w la-pidarnym skrócie w jednym ze swoich dzieł objawił prawdę inteligenckiej nieporadności wobec zagadnień życia, zasklepiania się w kregu dogmatycznych wierzeń. „Nie jesteśmy w stanie pojąć rewolucji bez książeczki” — oświadcza samokrytycznie w imieniu inteligencji rosyjskiej jeden z jego bohaterów. Ta ocena stosuje się także do wielu naszych pisarzy. I właśnie jeśli gdzie, to u Aleksego Tolstoja, w oparciu o jego fundamentalne dzieło „Droga przez mękę”, wartoby naszym pisarzom potępić i nauczyć się — jak pisać.

X

Droga ideologicznej przemiany Tolstoja przebiegała w okresie „kiedy walka klasowa zbliża się do rozstrzygnięcia, a proces rozpadu klasy rządzącej w łonie całego starego społeczeństwa nabiera tak burzliwego, tak gwałtownego charakteru, że niewielka część klasy panującej wyrzeka się jej i przyląga do klasy rewolucyjnej, do tej klasy, do której należy przyszłość” (Marks). Potomek starego, arystokratycznego rodu Tolstojów, wywodzącego się z czasów Piotra Wielkiego, Aleksey hr. Tolstoj zamienił się w rewolucjonistę i pisarzem radzieckim, członkiem Akademii Nauk ZSRR i deputowanym do Rady Najwyższej, musiał przejść ciężką drogę gruntownej przemiany, drogę wyczerpującej walki wewnętrznej z przynależnością do swej klasy, z jej ideologią. W przemianie tej, jak powiedział na VIII Wszczęstwachowym Zjeździe Rad w 1936 roku tow. W. Mołotow, „zawiniła historia. Ale przemiana ta odbyła się we właściwym kierunku. Wszyscy jesteśmy co do tego zgodni wraz z samym Tolstojem”. Tolstoj, jako przedstawiciel klasy niegdyś rządzącej, w swej „drodze przez mękę” musiał wyjść daleko poza wąskie granice ogólnie — inteligenckich obrachunków, musiał przezwyciężyć przekleństwo arystokratycznego pochodzenia, uporać się z wewnętrzną kontrrewolucyjnością swych klasowych nawyków.

Uczył się rewolucji początkowo tak, jak bohaterowie jego powieści — „z książeczki”. Toteż popadł z nią w kolizję; znalazł się w śródo-wisku zanurzonych w dekadentów Petersburga, rozprawyjących o „rozboju” jako

przejawie żywotności ludu. Dlatego cała jego początkowa twórczość nacechowana jest ponurym nihilizmem i inteligenckim indywiduizmem, rozdarciem wewnętrznym i „chandra”. Pierwszy zbiorek jego wierszy „Liryka” to typowy objaw dekadentyzmu.

Wkrótce jednak Tolstoj dochodzi do wniosku, że jego temperament „zawsze buntował się przeciw abstrakcyjnemu pogładowi na świat”. Zaczął więc wykupywać i palić pojedyncze egzemplarze zbioru. Dalsze jego opowiadania i nowele jak: cykl „Pod starymi lipami”, powieści — „Dziwacy” i „Kulawy pan”, to już bunt, choć jeszcze nie oskarżenie, przeciw degeneracji własnej, feudalno — obszarnekowej klasy — to sformułowanie programu negatywnego bez umiejętności sprecyzowania ideałów pozytywnych, to po prostu mieszczański realizm krytyczny, w obrębie którego pisarz nie widzi jeszcze „istotnego nurtu życia, kraju i narodu”.

Skłócony z rewolucją, ucieka od niej za granicę, i to dopiero, na emigracji zrozumiał, „jakie jest życie pariasa, człowieka oderwanego od ojczyzny, nikomu i w żadnych okolicznościach niepotrzebnego”. Książki, które pisał na emigracji, choć w dalszym ciągu obracają się w obrębie poprzedniej tematyki, zawierają już nie tylko suchą relację, ale surową ocenę klas posiadających, wytykają im zdradę i moralny rozkład, ferują ostry wyrok potępienia („Rękopis znaleziony pod łóżkiem”). Pierwsze, wyraźniejsze sformułowanie swej sympatii



do rewolucji, niestety w metafizycznym ujęciu, zawarł Tolstoj w powieści „Aelita”, w której z uznaniem ukazał wojownika Wielkiej Rewolucji Październikowej, uczestniczącego w fantastycznej podróży na Marsa.

Także i pierwsza część „Drogi przez mękę” — wielkiej eposu rewolucji, fundamentalnego dzieła Tolstoja, dzwiga wiele z jego początkowych obciążań ideologicznych.

Dopiero w III części napisanej w 10 lat później, kiedy jak sam Tolstoj przyznaje — „w okresie tym mój stosunek do życia, do otaczającej mnie rzeczywistości i naszej walki dojrzał i pogłębił się”, sprawy rewolucji przedstawione zostały już w realistycznych proporcjach, ocena ideologiczna osiągnęła pełną dojrzałość, naczelną problem: rewolucyjna rekonstrukcja rosyjskiej inteligencji, uległ ostatecznemu wyklarowaniu. Sapożków i Tieleghin, Roszczin, Dasza i Katia, ludzie, którzy poprzednio nie byli w stanie „pojąć rewolucji bez książeczki”, własną walką i zaangażowaniem, nawet własną krwią pieczętującą swój akces do obozu rewolucji i utożsamienie się interesów postępowej inteligencji z interesem klasy robotniczej. „Wszystko jest” harmonijne, „wszystko zgodne z prawem. Cel znaleziony...” — wyraża ten przemianę Roszczin.

Na to, aby „Droga przez mękę” mogła stać się nie tylko dokumentem, ale i pełną afirmacją rewolucji, Tolstoj musiał przedtem sam przejść przez trud poznania i odczucia jej wielkości i prawdy. We własnym światopoglądzie, we własnym doświadczeniu, nie

W stronę klasyki radzieckiej



Aleksey Tolstoj

cierpieć niczego „z drugiej reki”. Prześledzenie drogi przemian ideologicznych i rozwoju literackiego Aleksego Tolstoja pozwala jednocześnie — przez przeciwstawienie — odkryć niektóre przyczyny marazmu twórczego niektórych naszych pisarzy. Ideologia klasy robotniczej stała się bowiem dla Tolstoja nie tylko podstawą metody twórczej, metody pisania, ale przede wszystkim wytyczną życia — światopoglądem. Przyswoił ją sobie bynajmniej nie przez koniunkturalną lojalność dla wymagań czasów, lecz w przekonaniu o jej słuszności oraz w subiektywnym odczuciu jej potrzeby. W tym tkwi wielkość pisarza.

X

Tolstoj — odważny i uczciwy pisarz, niecierpiący la-twinizmy; oto — wydaje się — najcenniejsze cechy jego twórczości. Stara się uderzać po linii największego oporu. Wydaje się niekiedy, że u-myślnie komplikuje bieg wydarzeń i losów ludzi, że sam sobie zadaje trud rozwiązywania zadań — czterema niewiadomymi. W trylogii „Drogi przez mękę” nie skąpi rewolucji ciemnych barw, nie przemilcza jej błędów i pomyłek. Co więcej: odnosimy niekiedy zewnętrzne wrażenie, że z pewną sympatią odnosi się do „białogwardyjców”. W Armii Czerwonej natomiast nie waha się ukazać wszelkich anachizmów i lewactw, awanturników i prowokatorów. Czyżby w tym wszystkim pominięto relikty świadomości Tolstoja — arystokraty? Te dają się jeszcze niekiedy poznać w rysunku psychologicznym bohaterów, lecz nie w stosunku autora do rewolucji, który jest najzupełniej jednoznaczny. A więc chwyt? Też nie. Czytelnik widzi, że to co złego w rewolucji, stanowi jej margines, przeżytek, z którym sama rewolucja, już w procesie swego rozwoju, rozprawia się bezkompromisowo. Sympatia czytelnika opowiada się zdecydowanie nie po stronie Trockiego, mającego pełną gębę pseudo-rewolucyjnych frazesów i wydającego zdradzieckie rozkazy, lecz po stronie Waśki Rubliowa, który, choć lewacz, wierzy święcie w rewolucję i szczerze walczy w jej szeregach. Ten właśnie zdrowy trzon rewolucji zwycięża obiektywną „ymową” i historyczną słuszność i poparcie całego ludu pracującego Rosji.

Wiele po pierwsze: Tolstoj nie przemilczał trudności rewolucji, oddał sprawiedliwość ludziom boleśnie błądzącym i odnajdującym w końcu słuszną drogę. Bo „laktierstwo” (bo o nie tu właśnie chodzi) to nie tylko zatajanie i przemilczanie błędów, to także łatwutkie naklekanie etykietek, zbyt wygodne, zanadto szybkie rozwiązywanie konfliktów. Wyolbrzymianie błędów — to dywersja, niedoocena ich — to brak oceny ich, wygodniejsza w rozwiązywaniu konfliktów — to schematyczna łatwizna rozładująca emocjonalny dramatyzm wydarzeń.

Tolstoj nie od razu i nie tak łatwo wprowadza swoich bohaterów w szeregi rewolucji. Każę im stykać się z najcięższymi i najbardziej odstręczającymi zjawiskami rewolucji, w procesie ich przemiany nastawia na nich siła przypadku i własnej słabości, przez które muszą się przedzwierać jak zwierzę w puszczy. Rewolucja wdziera się w ich najbardziej intymne przeżycia osobiste, rozbiła związki rodzinne, doświadcza nieszczęściem, przeraża bezkompromisową gwałtownością. Widzą oni, że rewolucja niszczy, burzy, nie widzą jeszcze, że potrafi budować. W tej konstrukcji ideologicznej i psychologicznej przemiana bohatera, reprezentujących ewolucję całej inteligencji rosyjskiej, dokonuje się w praw-

dziwnej „bólach porodowych”, moźnolnie i ciężko, choć w harmonijnej współzależności losów osobistych postaci od rozwoju wypadków ogólnych. Mogą oni powiedzieć o sobie z całą słusznością: „W trzech wodach topili, w trzech kruchach kapał, w trzech ługach warzyli. Czyszciliśmy od najczystszych”. Doprowadziwszy rozwój ideologiczny bohaterów do szczęśliwego końca, autor nie waha się zaraz po tym zakomunikować: „W Moskwie wydano na kartki o-wies”. Większość inteligencji rosyjskiej już to nie zawróci z całej obranej drogi, bo że nie łatwo przyszło jej przez nią przebrać. To była zaiste „droga przez mękę”.

I zwycięstwo samego pisarza. W drodze życiowej Tieleghina i Roszczina wyczuwa się 22-letnią (tylko trwało pis nie powieści), morderkę wewnętrzną samego Aleksego Tolstoja, ucieleśniony trud pisarza, wytrwale poszukiwanie prawdy i pedantyczna troska o to, by prz-dstać rewolucję w szerokim epickim rozmachu w sposób wierny, wzruszający i przekonujący zarazem. Konflikty „Drogi” — cichutko dzięki temu skrajna, drapieżna ostryść dramatycznego starcia, występująca szczególnie w węzłowych punktach przełomu. Osiaga ją pisarz nie tylko za pomocą tak prostego zabiegu, jakim jest kontrast naturalny — kontrast ideologiczny, klasowy; krańcowości dramatyczne odnajduje on także w antynomiiach pojedynczego, lecz skomplikowanego zjawiska. Nie cierpi Tolstoj jednorodności i jednopostaciowości rzeczy: każdą z nich przedstawia w niezłomnym mnóstwie wariantów i odmian, nie zataczając przy tym jej zasadniczej specyfiki. Stąd fakt o doniosłym znaczeniu literackim. W Szczerbinie w swym szkicu „A. N. Tolstoj” stwierdza: „Porzucając tradycyjny gatunek powieści „życia prywatnego”, Tolstoj wniósł się do rewolucyjnej epiki, charakterystycznej dla monumentalnej sztuki realizmu socjalistycznego”. I jednocześnie — konstruuje z rozmachem nowy, nieznany przed tym typ epickiego obrazu literackiego — Tolstoj, dzięki umiejętności dostrzegania dramatycznych kolizji życiowych, stworzył zarazem trylogię o niesy-chanym „napieciu” fabularnym, odbudował — zatraconą przez dekadencję, zwyrodniałą — manierę jałowego psychologiczowania — zainteresowania — dla żywej akcji powieściowej, stanowiącej przecież nieodzowny element prawdziwego dzieła literackiego. Dlatego „Droga przez mękę” reprezentuje także świetny wzór,



doskonale (mimo kilku fragmentarycznych, niesharmonizowanych epizodów) skomponowanej powieści, dotyczącej pasjonujących spraw i prawdziwych ludzi o niezwykle skomplikowanym i bogatym życiu psychicznym. Wszczęstrowne doświadczenia życia i dzieła klasika literatury radzieckiej, autora „Drogi przez mękę”, mogą stanowić niewyczerpane źródło nowych natchnień pisarskich. Aleksey Tolstoj wskazuje dziś także niezawodną drogę do głównego celu całego swojego życia — „dorównania wspaniałym tematom naszej wielkiej epiki”.

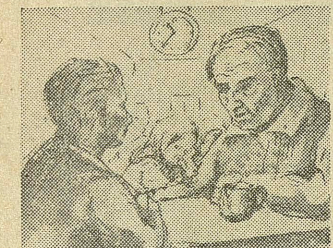
Ryszard Headko

BOGDAN WOJDOWSKI

Pierwsze dni w Konotopie

9 lipca 1952 r.

Pociąg szczeciński zatrzymuje się w Choszczynie o godzinie 3 w nocy. O tej porze roku już świta. Na widnokręgu — purpurowy pasek wschodzącego słońca. Nieliczni podróżni wysiadają pośpiesznie w czasie krótkiego postoju. Z turkotem podjeżdża pociąg. Kilka donośnych okrzyków. Gotowe? — Gotowe! Odjazd. Zawiadawca walcząc z sennością, staje na krawędzi peronu. Konduktorzy machają laskami i zatrząskują drzwiami. Gwizdek. I po chwili pociąg pośpiesznie Warszawa — Szczecin niecierpliwie umknął z malejącej stacji powiatowego miasteczka.

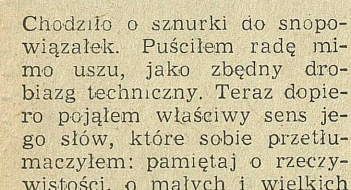


W bufecie przysiadłem się do gorącej herbaty. Mój sąsiad pił piwo. Był to pięćdziesięcioletni chyba jegomość o śmiejących się, pogodnych oczach. Na pozór starej daty. Po godzinie musiałem jednak zmienić zdanie. Znalazł się tutaj w brygadzie mierniczych, zwerbowanych spod Kutna, którym powierzono roboty w okolicach Jarosławca. Prawdopodobnie tu właśnie zdobył mój rozmowny towarzysz podróży swoje argumenty. Często powtarzał: „W spółdzielni rolnik lepiej żyje niż urzędnik na państwowej posadzie”. W pojęciu powiatowego mierniczego, to dużo. Q kredytach państwowych pożyczkach i ulgach mówił jak specjalista. Kilkakrotnie zastrzegł, że w spółdzielni „musi być dobrana kompania”, że „musi być jej kierownik akuratywny człowiek i sprawiedliwy” i że „trzeba prowadzić regularnie książki buchalteryjne”. Pod Koszalinem książki takie sam oglądał, „wszystko w nich zapisane co, jak i komu”. Porwany rozmową nie notowałem, chciałem bowiem słowa starego mierniczego, który dawał mi lekcję agitacji. Gdy po godzinie zza okna dobiegł nas głos konduktora, obwieszczał pociąg do Drawna, z żalem żegnałem „mierniczego powiatu choszczeńskiego”.

10 lipca.

Z Drawna wlokłem się do Konotopu 15 km pieszo. Z satysfakcją nowicjusza karbowalem sobie w pamięci, że rzepik ozimy i jęczmień już skoszono, że w okolicy dużo pszenicy i buraków cukrowych, (a więc ziemia dobra), że obszerne spłachcie wysiane seradellą i wyką zapowiadają dobrze postawioną hodowlę bydła.

Wtedy właśnie przypomniałem sobie ostatnie słowa redaktora C. — Pamięta! o sznurkach — mówił, podając mi na pożegnanie rękę.



Chodziło o sznurki do snopowiązałek. Puściłem radę mimo uszu, jako zbytnie drobiazgi techniczne. Teraz dopiero pojąłem właściwy sens jego słów, które sobie przetrzymywałem: pamięta! o sznurkach — mówił, podając mi na pożegnanie rękę.

Dom sołtysa Konotopu stoi na samym krańcu wsi. Kiedy przyszedłem, sołtys past krowy. Przywitał mnie jego sąsiad, zasuszonej, niski chłop dość nieoczekiwanie: „Jak pan jest z Warszawy, to niech pan powie tam, gdzie trzeba, że u nas wody nie ma”. W całej wsi popuste studnie. Zatrzymać się samemu nie łatwo, woda przebiega tu wyjątkowo głęboko. A przedsiębiorstwo ze Starogardu do tej chwili nie uruchomiło jeszcze ani jednej. Ludzie sąsiadują z gromadą. To była pierwsza sprawa, w którą wtajemniczyli mnie z miejsca ludzie Konotopu. Miała ta sprawa swoją brudną podsewkę, a wyglądała ona tak: Wspom-

niane przedsiębiorstwo hydrauliczne naprawiło jedną pompę we wsi, naprawiło, ale niedbale. Komisja kontrolująca studnię przyjęła, technicy wyjechali, a następnego dnia znów nie było wody w Konotopie.

Co miałem odpowiedzieć temu chłopu, który widząc mnie po raz pierwszy, prosi „żeby” powiedział gdzie trzeba? Czy należało obiecać i zapewnić? A potem, jak tyłek rózny mogło to się zdarzyć innym przede mną, zaświeć zaufanie? Nie. Milczałem. Ale prośbę o interwencję w sprawie wody zanotowałem, przeciwnie, że czeka mnie w najbliższych dniach wyprawa do gminy. To jasne, że GRN beztrudno zasnęła, skoro takiej sprawy jeszcze nie załatwiono.

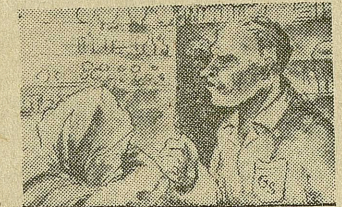
13 lipca.

Po kilkudniowych obserwacjach i rozmowach.

Konotop poza pięćsethektarowym PGR, obejmuje 11 gospodarzy indywidualnych (7 — 10 ha). Gromada posiada strukturę nowej osadniczej wsi. Wyrównany areal uprawy, wyrównane obowiązki wobec państwa i wyrównane na ogół dochody nadają wsi jednolity, średniozamożny charakter. Konotop jest królestwem średniaka.

Konotopski średniak jeździ na inne gromady organizować kontraktacje żywcą i śmieje

się, że w Płocicznie niekiedy uciekali na wieść o jego przybyciu. — Dlaczego? — Bo w pyskowie nas nie przegadają i sianem się nie wykrecą...



Konotopski średniak, kiedy go skrzywdzi funkcjonariusz władzy terenowej, zaklina się żarliwym zaklęciem: „Ażeby miał krzyżem pod Belwedrem leżeć — znaleźć „prawiedliwość”. Taki jest ten konotopski średniak.

Walentyna Obarska była niedawno w gminnej spółdzielni w Bapimiu po materiał. Sprzedawca nie dał jej czegoś chciała. „Dla was kulać — krzyknął — nie ma nic!” Kobięciną popłakała się. Co prawda, na drugi dzień GRN interweniowała w tej sprawie, ale do dziś jeszcze Obarska wspomina: „Tak mi się ciężko i żal zrobiło, co mnie ten kulaćka nazwał”. Ot taki jest ten konotopski średniak.

14 lipca.

Walentyna, Wojciech i syn ich, Jan Obarski, to trzy rozdziały z życia polskiej wsi.

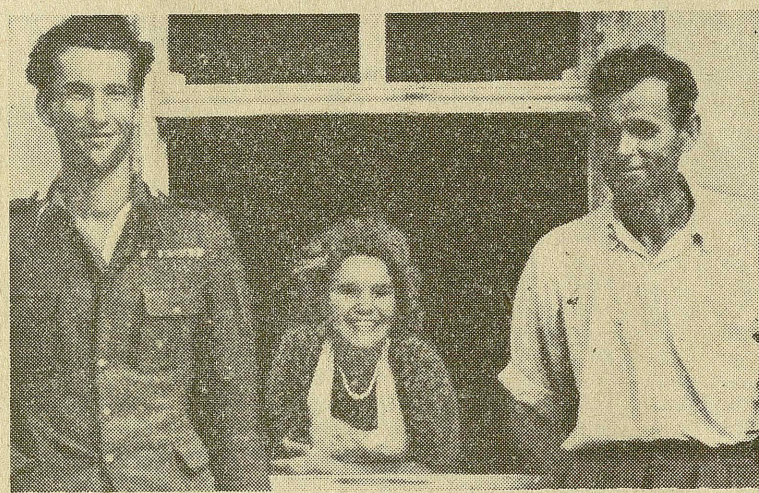


Foto J. K. Maciejewski

ANTONINA POMIANKIEWICZ

Dawne życie rodzinne

MATKA wdowa wychowała syna w ciężkich warunkach. Ożeniła go z bogatą dziewczyną i była zadowolona. Ale po ślubie synowej rozpoczęły się kłótnie i wymyślania. „Bóg się Boga Zosi, marnujesz obuwie przy pieczeniu buraków, ciepło jest na dworze, można boso chodzić” — „A co ja dziadówka jestem, żeby boso chodzić, stać mnie na drodze obuwie”. I codziennie się kłóciły o to i tamto... matka chciała tak, a synowa inaczej. Syn ich godził i ujmował się za żoną, a matka jęczała i narzekała na syna, że marnuje majątek itd. W końcu synowa wyrzekła się męża i uciekla do ojca. Mąż jakiś czas został z matką, ale po urodzeniu się dziecka powrócił do żony i mieszkał u jej ojca.

Matka znów jęczała na samotność i prośbami skłoniła syna i synową do powrotu do domu. Synowa z mężem powróciła, ale pod warunkiem, że mieszkać będą osobno, w innym mieszkaniu...

Inna matka tak samo się kłóciła z synową o porządek w domu. „Ty brudasie, niechluj, proźniaku, ja stara więcej pracuję od ciebie”. Kłóciły się i wymyślały wzajemnie. Syn mówił „Po co matka się wtraca do niej, niech robi jak chce”. W końcu synowa uciekla z domu i wkrótce umarła.

Trzecia matka przyjęła zięcia do domu.

Przez rok był spokojny. Matka z córką godziły się, ale zięć ciągle mówił, że pragnie mieć osobny dom. „Co ja mam dla wszystkich pracować, woleć tylko dla siebie”. Kiedy się dziecko urodziło, namówił żonę, aby matkę wydalila z domu. Matka zagroziła mu policją i skargami do władzy. Tego się zięć obawiał, zostawił więc matkę w spokoju, jednakże dom przegroził na dwie połowy i jedną sobie zabral, a drugą matce zostawił. Zabrał przytem pół majątku dla siebie.

Kiedy córka pomagała matce, zięć wymyślał jej i matce. „Niech sama pracuje, albo zapłaci nam za robotę. Co my mamy darmo pracować dla niej?”

Kulak, samolub, pragnął, aby matka jak najprędzej umarła.

Galanowa została wdową z dwójgiem dzieci.

Jęczała i płakała z mężem, zgastym przedwcześnie. Biedowała i męczyła się w pracy na swej roli.

„Ach, żeby córka przed jej dorostem i wyszła za męża, będzie jej lepiej”.

Za półtora roku wydała córkę za męża i cieszyła się zięciem. Zięć był pracowity, ale tylko dla siebie. „Matko, zapiszcie nam majątek, niech my mamy swoje osobno” — „Nie mogę tego spełnić, aż Staszek

dorośnie i będzie pełnoletni. Ja mam dwoje dzieci i żadnego nie chcę ukrzywdzić. Majątku nikomu nie oddam, a tylko swoim dzieciom.

Zięć się ogromnie z matką pokłócił i uciekł z domu. Córka poszła za mężem, a matka płakała i dalej się mordowała.

Wdowa Damkowa miała troje dzieci. Syn się ożenił z jedynaczką i poszedł z domu do żony Olesi.

Za rok córka wyszła za męża i zięć w domu pracował, ale to krótko trwało.

„Matko dajcie nam majątek osobno — mówił zięć, niech pracujemy dla siebie”.

„Zaczekaj jeszcze, aż Jadzia urośnie i będzie miała swoją część” — odpowiadała matka. Przez trzy lata zięć pracował jeszcze w

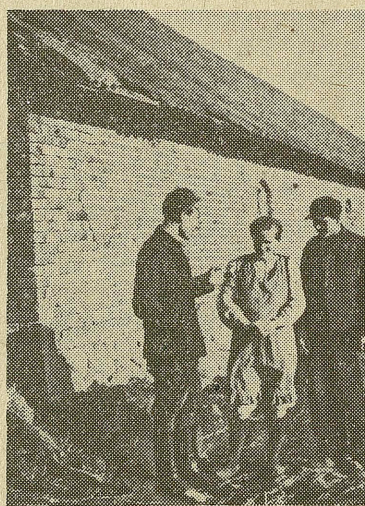


Foto: J. K. Maciejewski

domu razem z matką, aż Jadzia skończyła 16 lat. „Matko zapiszcie nam majątek o reje. Stefanowi damy pieniądze za grunt a Jadzia garbata, kaleka zostanie przy nas do śmierci. Jej mąż niepotrzebny, bo jest kaleką, niezdarny”.

Jadzia się rozgniewała o to i mówiła do siostry:

„Co ja mam być służącą u ciebie? Ja garbuska mam trzy morgi ziemi tak samo jak i ty prosta”.

Siostry cingły się kłóciły z sobą i z matką, aż zięć się wyprowadził do swego ojca.

„Nie będę dłużej dla was pracował, robicie sobie jak chcecie”.

Jadzia się uparła i wyszła za męża za biednego parobka.

Siostra nierada temu narzekała. „Tyle pracy mam w domu, myślałam, że mi garbus pomoże, a ona uparła się być gospodynią równą mnie. Matka nie powinna na to pozwolić, garbatej”.

Antonina Pomiankiewicz
Trzemeszno,
pow. Hrubieszów Lubelski

ZOFIA BARCHANOWSKA

Nie umiemy ich jeszcze odszukać

UPRAMIAM 8,5 ha ziemi ornej, to jest 7 własnej i likwiduję 1,5 ha ugoru. Dośtałem gospodarstwo w 1948 roku. Do tego czasu pracowałem jako robotnik rolny. Choć nie jestem z dziada pradziada rolnik, ale ja od dziecka miałem wyjątkowe zamiłowanie do rolnictwa. Kiedy osiedliłem się na gospodarstwie, zacząłem czytać dużo broszur i książek rolniczych. Przeważnie chodziło mi o to, jaką uprawę dać glebie, jakie odmiany roślin siał i jak je pielęgnować oraz jak stosować nawozy sztuczne.

Kilka razy posłuchałem rad starych rolników, ale żebym chciał ich dalej słuchać, to bym musiał zwinąć gospodarstwo. Zaczętem sam badać i kalkulować, choć to nierzwykłego trudu, a nawet uśmiewano się ze mnie, „co tam ten parobek wyrabia”, ale ja się uparłem, że muszę osiągnąć wysokie plony”.

Taki jest Wacław Kosobucki, z gromady Łabędziowo. Na północnym krańcu Polski, w powiecie bartoszczyckim, rzadzi tamtejszą piaszczysto — gliniastą ziemią, uczy się gospodarować w nowych dla siebie warunkach klimatycznych. A wyniki?

„Mam odstawić w tym roku 16 kwintali zboża. To jest dla mnie nie dużo, bo w zeszłym roku sprzedałem Państwu 24 q, a w tym roku jeszcze więcej sprzedam, to samo z męszem, choć mam odstawić 200 kg.”

Kosobucki, to rolnik, który „bada i kalkuluje”. Charakterystyczne jest to, że wskazówek do pracy szuka w literaturze fachowej, a nie u „rolników z dziada pradziada”. Jego spostrzeżenia i doświadczenia zdumiewają swoją trafnością. Podniesienie np. wydajności z hektara uależnia Kosobucki od trzech czynników. Są to: po pierwsze — mechaniczna uprawa gleby, po drugie — dobór i przygotowanie materiału siewnego, po trzecie nawożenie i pielęgnacja. Ale niech sam nam o tym opowie.

„Przed wszystkim mimo suchego lata 1951 roku zrobiłem podorywkę, chociaż z wielką trudnością. Dziennie trzeba było mieć na zmianie trzy lemiesz, gdyż nie można było pluga ułożyć do ziemi. Okazało się, że jest to dobra rzecz, bo jaki by rok nie był, suchy czy mokry, wzrost roślin jest gwarantowany. Na zimę wykonałem głęboką orkę i pozostawiłem rolę w ostrej skibie, żeby zebrała jak najwięcej wilgoci. Wiosną puściłem bronie, żeby przerwać parowanie i natychmiast przystąpiłem do siewu. Wszystkie zabiegi wykonałem koniami, chociaż bardzo się męczyły i zajęło mi to dużo czasu.

Zaprowadziłem u siebie nową odmianę pszenicy ozimej, białej, wosatej. Historia jej była taka. Jeden z osadników, Piotr Kuchena, przyniósł z Sanoka ten gatunek podobno austriackiej pszenicy. Jest ona bardzo ładna, ziarno ma koloru mleka, a kłosa sięgają do 15 cm. Wielu z nas chciało zaprowadzić u siebie tę pszenicę, ale Kuchena nawet słysząc o tym nie chciał, aby komuś dać choć trochę tego nasienia. U mnie akurat złożyło się tak, że nie miałem wymłóconej do siewu graniatki, a Kuchena miał. Pożyczyłem więc od niego 1 q graniatki, do której w czasie omłotów zabłąkały się ziarna wosatków. Traf chciał, że w 1949 roku „graniatki wymarzały i zostały na polu tylko rośliny wosatków. Chodziłszy po polu z matką i wyżyliśmy po kłosku i tym sposobem zebrałem 23 kg. W następ-

nym roku zebrałem z niej 130 kg. Posiałem ją na jesieni 1951 roku po kartoflisku i w tym roku nakośiłem 5 dużych parokonnych wozów”.

W taki to możolny sposób Kosobucki zaprowadził u siebie nową odmianę pszenicy. Podobnie uparcie i cierpliwie zabrał się do doświadczeń i nad najkorzystniejszym i właściwym w warunkach powiatu bartoszczyckiego systemem nawożenia, uprawy rzepaku, hodowli pszczoł, nad możliwością rozszerzenia arealów roślin pastewnych i przemysłowych itp. Wnioski wystrząsałby na poważną broszurę pt. „O szczegółowej uprawie roślin i hodowli w pow. bartoszczyckim woj. olsztyńskiego”.

Dlatego — o tym piszemy? Czy dlatego, że postać Kosobuckiego, rolnika-racjonalizatora, któremu jak sam pisze „ziemia rodzi, bo po niej z głową chodzę”, jest dziś jeszcze postacią wyjątkową na naszej wsi?



Foto: J. K. Maciejewski

Nie. Nie ma dziś w Polsce powiatu, na nawet i gminy, gdzie by nie można było wskazać kilkudziesięciu, a w najgorszym razie kilkunastu tego typu rolników z uporem i cierpliwością, w oparciu o zdobycie nauki i techniki rolniczej, zwłaszcza przodującego świata rolnictwa radzieckiego, walczących o wyższe plony, o lepsze wyniki hodowli.

„Talentów organizacyjnych wśród ludu, to jest wśród robotników i chłopów nie wyszukajmy cudzej pracy — pisał Lenin — jest dużo. Kapitał tysięcy tych talentów dlań, niszczyć, wyrzucać, my zaś nie umiemy ich jeszcze odszukać, dodać im otuchy, postawić ich na nogi i wysunąć, lecz nauczymy się tego, gdy zabierzemy się do nauki z całym rewolucyjnym zapałem, bez którego nie ma zwycięskiej rewolucji”.

Rolnik — racjonalizator to postać już dziś tworowa w naszym rolnictwie. Ośmiem już przecięt lat trwa rewolucja agrarna w Polsce...

„Ale postać to wciąż jeszcze samotna. I to w powiecie bartoszczyckim, gdzie istnieje jeden z przodujących Państwowych Ośrodków Maszynowych naszego kraju. Za mało, wciąż za mało jest jeszcze wysiłków i ze strony państwowej administracji rolnej i ze strony Rad Narodowych i ze strony Wv-iatów Politycznych POM-ów, aby tym racjonalizatorom pomóc, aby z ich zamiłowaniem, doświadczeń i wyników uczynić skuteczną dzwignię przebudowy rolnictwa, otwierając przed nimi perspektywę zespołowej gospodarki, w której ich pasja kształtowania rolnictwa dla potrzeb narodu przyniesie dopiero spodziewane owoce.

Zofia Barchanowska

podwórzu i zapytał tonem egzaminatora:

— Czym ty chcesz być? — Wiedziałem, że odpowie — Traktorzystą!

16 lipca.

Ludzie z Konotopu, zaczęli mnie zagadywać na ten temat pierwszy. Z rozmów wynioskowałem, że cała wieś przekonana jest, że przyjechałem tu założyć spółdzielnię produkcyjną. Moje początkowe pomijanie milczeniem tej sprawy wzięli za taktykę. Ale w miarę tego, jak czas płynął, tracąc cierpliwość. Zaczęło się od pytań, wyjaśnień, rozmów. Stary Obarski, opowiedział mi o wypadkach, jakie zaszły tu ubiegłego roku, kiedy sprawa spółdzielni zawałała się z winy gminnego aktywu.

— Był tu jeden agitator, rozmawiał z ludźmi raz i drugi. W końcu zapytał go: czy przymusowe jest wstąpienie do spółdzielni? Tutaj Obarski zrobił dramatyczną pauzę i jeszcze mocniej przyparł mnie do płotu.

— No i kiedy go tak wprost zapytał, stracił chłopak głowę. Ja bym odpowiedział: „nie ludzie, nie przymusowe, ale do planu należy, do naszego życia”. — A on odpowiedział mi tylko, że przymusu nie ma. No to w porządku, kiedy poszedł do siebie i ja też nacisnąłem kapelusza na oczy i do widzenia.

17 lipca.

Byłem w Bapimiu, u sekretarza gminnego komitetu partyjnego. Dał mi broszurę ze statutami trzech typów spółdzielni. Ustaliśmy termin zebrania na przyszły tydzień.

18 lipca.

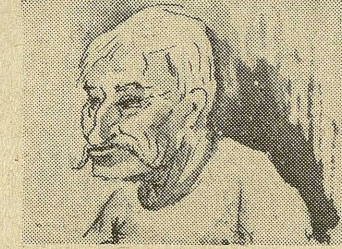
— Czy jest wasz syn?

— Nie ma go, w polu robi. Siadam na schodach obok starego Krośnickiego. Obserwujemy się w milczeniu.

Włosy koloru mleka, jastrzębi nos, skośne, wąskie oczy, którym siateczka cieniotkich czerwonych żyłek nadaje wyraz okrucieństwa, zarosnięte policzki i długi wąs miłojewski — oto zewnętrzny portret Krośnickiego-ojca, starego kulaka i poddanego kiedyś cara-wyszczelaka. Lecz nie uprzedzajmy faktów. Wypłynęły one dopiero z opowiadania starego. Natarli nas, młodzi pierwsi, dopytali się z czym przyszedłem do jego syna i własne podejrzenia niepokoiły go. Niedostępowo fizyczne, pomieszczone z beznadziejną pretensją do całego świata przebiegały w tym, co mówił.

Ze złym, mściwym uśmiechem zaczął mówić, jak to mu było dobrze za czasów carskich jak w 1914 r. rosyjscy oficerowie otaksowali jego majątek, przez który miała przebiegać linia frontu i jak o mało co nie wyplacono mu odszkodowania. Zapytałem, czy innym również wypłacano odszkodowanie. — Zależy jak komu — odparł. — Mnie było za co — powiedział to z nietajoną dumą — miałem 40 hektarów, a jakże. Temu, który miał 2 gale morgi bez konia, nie było za co płacić.

Dziad ma teraz może 90 lat. Trzęsie się cały z podniecenia, pochyla głowę, odslaniając pomarszczony, chudy kark i zaciska małą piastkę na kiju. Jego wzrok mówi więcej niż słowa. Dzisiaj zniechęconego starca wziął do siebie, syn Michał, gospodarz dziesięciohektarowy, nie wykazujący ochoty do kulaczenia, jeden z wielu średniozamożnych osadników — średniaków, którym państwo na tych



ziemiach stworzyło dobrobyt.

Stary Krośnicki chyttrze spogląda, sprawdzając, jakie wrażenie zrobiły na mnie jego słowa, wyciąga z kieszeni małą buteleczkę i wysypuje na zewnętrzną stronę dłoni, w zagłębieniu między palcem wskazującym i kciukiem szczyptę brązowego proszku.

— Syn mi z Wejherowa przysłał — mruknął i kichnął — nie mogę tu wcale dostać, w Gminnej Spółdzielni nie trzymają.

Wczoraj opowiadała mi Pietrakowa, że w GS-ie kupiła chińskiego jedwabiu po 140 czy 160 zł metr i nalałszy wody do miednicy, podała mi kawałek toaletowego mydła.

Jedwabiu na wsi nie brak, mydła toaletowego nie brak, ale cóż, brak tabaki do kichania.

Bogdan Wojdowski

Rys. Binali Horst.

JAN BOLESŁAW OZÓG

Zły to ptak co własne gniazdo kala

Michał Przewrót, to światowiec:
chowa pięć krów, dziesięć owiec,
osiem świń i dwa buhaje,
żona kopę kur sprzedaje.
Dobrobył mu rośnię w domu,
bo korzysta z maszyn GOM-u.
Da więc Przewrót dobre słowo
za miłą Polskę Ludową...
Ale inna jest Przewrótka:
W Ameryce żyje ciotka, —
tak, ciotka zaś taka w USA,
to raj od jednego susa,
więc Przewrótka — w bredni sła —
za Ocean list wysła:
„Chodź, bosso, chodź nago,
zlituj się, ciotko z Chicago.
Bo nie kupię ani szmaty,
taki w Polsce los garbaty.
Placę z nędzy w dzień i nocą,
ciotko, błagam, przyjdź z pomocą”...

Nie upłynął jeszcze sierpień,
kres czekania i kres... sierpień.
Gna listonosz przez wieś klusa:
Ej Przewrótka, paczka z USA!...
Owszem, owszem, przyszła paczka
ale niech to kopnie kaczka: —
rozdarła cztery pończochy,
a satyny ani trochy.
W gazecie ręcznik z fartucha
i smród sparciałego ciucha.
Na samym dnie na dodatek
dwoje starych zgrzebnych gatek...
Oj śmiał się, śmiał Przewrót z żony:
Masz, widzisz list polecony!
Oj, przysłał ci z Chicago,
stamtąd, gdzie nie chodzą nago.
Patrz, w komorze dziesięć kiecek,
cukru na rok osiem niecek.
Chciało ci się? Masz — do kółki —
i nylony i tyrolki!

WOJCIECH DRYGAS

Powiatowy
czynnik społeczny

ODEMKNAŁEM dyskretnie
drzwi i usunąłem się na pal-
cach do pięknej sali teatral-
nej. Pachniało tu jeszcze farbą i
świeżo założonym parkietem. Za-
miast krzesel ustawiono dla gości
w dwóch rzędach kilka pulpitów
szkolnych. Wcisnąłem się w jeden
z nich, usiłując ułożyć jak najwy-
godniej kolana, lecz kiedy pulpit
zaczął niepokojąco skrzypieć — wy-
sunąłem nogi na środek sali. Była
to jedna z owych blaskawiczych
scen, które zdarzają się jedynie
na okolicznościowych akademiach
i chociaż rozegrała się dostojnie
w trzech sekundach, wywołała nie-
bawie poruszenie. Sto dwadzieścia
nosów dziecięcych i tyleż par cie-
kawych oczu zwróciło się w moją
stronę, obserwując ze zdumieniem
wybuchną teację, którą nieopatrz-
nie rozłożyłem przed sobą. Pod
wielkim transparentem, głoścącym
radosną nowinę: „Dziś tu z Błę-
dowa wita nowy rok szkolny w
murach nowego gmachu!” — tam,
gdzie rozsiadło się wygodnie za
stołem prezydium uroczystości —
na moje nagłe wtargnięcie do sali
zareagowano jeszcze żywiej.

Abym odmalował burzę, jaka
wstrząsnęła członkami prezydium,
treba by było poświęcić tej oko-
liczności specjalny rozdział. Jak na
komendę wszystkie tam głowy
zbiegły się wokół spadającego czoła
centralnej w tej grupie postaci na-
pełniając jej uszy różnorodnymi
szepotami. Po chwili jak gdyby od-
bite rakieta tenisowa odskoczyły
napowrót na swoje miejsca, a spa-
dziste czoło wychyliło się ku mnie.
W tym momencie z głośnika ra-
diowego spiker zapowiedział prze-
mówienie ministra.

— Któż to jest ten łysy — spy-
tałem stojącego opodal chłopca.
Ten wybuchywał zdziwione oczy:
— To przecież pan Kalebma...
— Co za Kalebma?
— Ano, z tych Kalebów...
— To znaczy kto?
— Jakiś kto? Pan nie zna Ka-
lembów?

Zaledwie przebrzmiały ostatnie
słowa ministra, spadziste czoło
znów uniosło się w górę.

Zauważyłem, że pod spadzistym
czołem wyrasta perkaty nos z do-
brze utrzymanym wąsem, a małe
oczka oceniają zawartość mojej
teatki. Przez moment łysy zastana-
wiał się widząc, czy teatka z cię-
cej skóry może być wiastunem
nieszczęścia, a jeśli tak — to z ja-
kiej dykasterii służbowej nadchodzi
nieszczęście, lecz gdy nie nie wy-
kom-inował, przeszedł do nastę-
pnego punktu porządku dziennego,
którym było jego własne przemówie-
nie do zgromadzenia.

Mówił cicho ale „uczenie” dobie-
rając słów i przylgając się wciąż
mojej teatce. Kiedy ponowiłem
nieudane próby unicestwienia prze-
mówienia...

JAK
BĘDZIEMY WYBIERAĆ
DO SEJMU?

ORDYNACJA WYBORCZA
DO SEJMU

Polskiej Rzeczypospolitej
Ludowej.

str. 104 z 1.30

«Książka i Wiedza»

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 752-50 Adres re-
dakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7

Tel.: Red. Nacz. 721-86. Tel.: Redakcji 751-80 do wewnątrz 91, 63

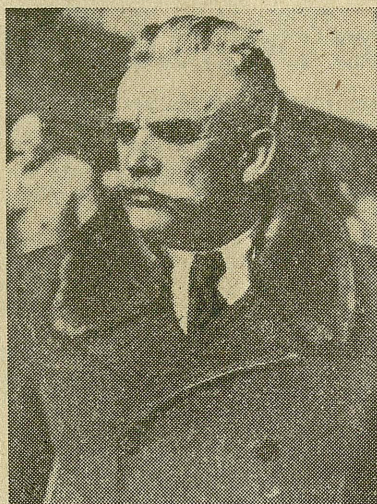
Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 3 zł. kwartalnie — 9 zł. półrocznie — 18 zł. rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe
oraz listonosze

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5

3-B-17469

P O R T R E T Y C H Ł O P Ó W



Jan Karczewski
wieś Zawiszyn, pow. Radzymin.



Tomasz Karpiński
wieś Śwądów, pow. Brzeziny.



Jan Milej
wieś Truskaw, pow. Kraśnik

Foto J. K. Maciejewski

C Z Y T E L N I C Y M I Ę D Z Y S O B ą

JÓZEF STRĄCZEK

Wzięli na łańcuch jak psa...

Mnie się tam w Polsce, kapita-
listycznej dobrze powodziło, żyłem
sobie z procentu, jak król, a dziś?
Ale widzę, że muszę zacząć od po-
czątku. Jestem synem 5-morgowego
rolnika. W r. 1893, gdy miałem już
19 lat wyjechałem do pracy w ka-
mieniolomach pod Kielcami. To by-
ła moja pierwsza praca poza gospo-
darstwem. Później próbowałem róż-
nych zawodów... wozilem tuczniaki
furgonem, bielem młotem w kotlar-
ni, pracowałem przy maszynach w
wielkiej fabryce metalowej, byłem
ekspedientem, kelnerem, nawet lo-
kajem. Łapczywy byłem na każdy
zarobek, a zarabiałem przeciętnie
na dawne pieniądze od 8 do 9 ru-
bli na dwa tygodnie. Byli i takie
lata, że zarobiłem więcej, ale były
i takie co szukałem na próżno byle
jakiej pracy.

A trzeba wam wiedzieć, od ust
sobie odejmowałem, że z każdego
zarobku co dwa tygodnie odkłada-
łem do kasy czasem trzy a czasem
to i pięć rubli na 3,5 proc., a jakaż
była moja radość, gdy odczytałem
książeczkę z wkładką, a tu mi po no-
wym roku dopisują dwa, trzy, a
czasem to i cztery ruble procentu!

Gdy miałem już 100 rubli, to za-
cząłem pożyczac prywatnie na 10
proc., a jak się dało to i na wię-
cej, bo ludzie szukali pieniędzy,
chcieli pożyczali, ba, nawet opła-
cał faktornę, aby dostać wierzyciela.

Tak upływały mi lata, kapitał mi
rosł w rękach. W roku 1910 poczu-
łem się bogatym, bo miałem już
2.000 rubli, a od takiego kapitału,
to można było mieć co najmniej ze

200 rubli procentu rocznie, czyli 40
metrów pszenicy. Więc pytam się
was, czy ja sobie wtedy nie mo-
głem zrobić bezrobocia, co, he? Czy
ja sobie, choć miałem silne i zdro-
we ręce, nie mogłem zrobić wy-
wczasu? Czy nie mogłem wrócić na
wies, spłacać rodzeństwo, budować
domu i dokupywać ziemi?

I tak sobie żyłem, tu kupilem ta-
nio, tam sprzedawałem drogo, tu we-
ksel, tam procent. Ziemi przybywa-
ło, ludzie chętnie u mnie pracowali,
bo jak im wygodziłem pożyczką, to
nie żądałem pieniędzy za procent,
ale wolałem odrodek. Miałem już
osiem krów, 20 ha ziemi, zacząłem
się rozglądać za jakimś większym
interesem, a tu na moje nieszczę-
ście, odmiennili się czascy.

Odebrało państwo przemysł przy-
watemu właścicielowi, oblowiło się
miliardami, za to buduje robotni-
kom hut, stallownie, i te próżniaki
nie chcą już u mnie pracować, wy-
rywają się do miasta. A przeto
to chodzą taki do mnie i płacą i
skamla, żeby go do roboty wziąć.
Przed wojną to wziął 80 groszy za
dzień pienienia i jeszcze dziękował,
a dziś to niżej 40 złotych ani jedna
dziewucha przyjdzie do roboty nie
cheć, bo więcej zarobi gdzie indziej,
w mieście.

I mnie, co taki kapitał zbierałem,
po prostu zgrzyli, ogłosili za kulaka
i wyszukiwacza, i uwiązali jak psa
na podwórzowym łańcuchu. Takie
to dziś czasy.

Józef Strącek
Proszowice, pow. Miechów.

PAWEŁ CZERNIK

...Czy aby łańcuch nie za długi?

Mało mnie krew nie zalała, jak
otwarzyłem list od Ciebie, Kochana
Redakcyjko i przeczytałem list tego
Strączka z Proszowic. Ze taki łaj-
dak wstydu na czoło nie ma, żeby

się tak swoimi spekulacjami i pro-
centami przechwalać.
Oj, płacilem ci ja za takie pro-
centy i spekulacje różnych Strą-
czków, płacilem przez długie lata. I ja

Gazetka gminna

Dowcipny
korespondent
Batura

Powiedział nam czytelnicy
co wart korespondent,
który nie świeci własnym
przykładem i co innego pi-
sze, a co innego robi.
O, weźmy u nas w Le-
kowie korespondent Baturę.
Organizował grupę
likwidacji odłogów, Batura
krzyczał ale nie przy-
stąpił. Organizowali komi-
tet założycielski spół-
dzielni — Batura polecał
z nami na wycieczkę do
spółdzielni produkcyjnej,
ale jak przyszło co do
czego, statutu nie podpisał.
Jaka korzyść mamy z
Batury. Zapytajcie lepiej
jaką szkodę. Rozpowszechni-
ł się bowiem po wsi do-
wcip Batura, który powie-
dzał, że przystąpi do spół-
dzielni produkcyjnej wów-
czas, gdy będzie już w
niej 97 gospodarzy. Za-
znaczył w tym miejscu,
że gromada Leleków liczy
sobie wszystkich 98 go-
spodarzy a zrozumieli
jak bardzo dowcipny był
nasz korespondent Batura.
O czymże więc pisał, o
czym więc w swych kore-
spondencjach wojuje nasz
dowcipny korespondent
Batura. O, walczcie jest o
coś na przykład o snopo-
wizację z GOM-u, która
zamianst jego Baturę o-
śmieliła się najpierw ob-
służyć członków zespołu li-
kwidacji odłogów i spół-
dzielni produkcyjnej. Batura
grozi, że skrytykuje.
Ale i na krytykę znajduje
się krytyka. Ostatnia Batura
sparzył się na „Głosie
Olsztyńskim” więc zalił się
do ludzi, że do „Głosu Olsz-
tyńskiego” nie warto pi-
sać, bo jest za bardzo po-
lityczny.”

I powiedziacie nam, co
zrobić z takim korespon-
dentem Baturą?
Karolina Turkuć

Dzielną trójka

IRENA MAZURKIEWICZ

DLA KOGO MACIORKI?

Spotkał się Piotr Mizera, z
krewiakiem. Janem Niezborkiem:
„Słyszales? — można w Płużnicy
Na wychów kupić maciorke.
Mało i średniorolni
Dostaną na skrypty dłużne”.
Machnął Jan ręką, z niechęcią:
„Ech, Piotrze, nadzieje próżne!
Powracam właśnie z Płużnicy.
Idę wprost z „Miesięj Centrali”.
Tak, dosyć było maciorok,
Lecz je... kulakom sprzedali!”
Janie, co wygadujesz?! —
Zachnął się Piotr Mizera —
Czy to być może? — Kulaka
„Centrala Miejsna” popiera?
„Z palca się nie wyssałem — widzia-
łem, kto brał macioroki:
Ci, co już mają świń dosyć.
Sami bogaciele! — „rozdzielców”
Kumoty, stryje, pocioły,
Kupowali macioroki,
Nie dopuścili biedy,
Kulak rad wracał do domu,
Z kwiczącym w worku nabytkiem,
Drwiąc ze średniaka, z biedniaka,
Którzy musieli iść... z kwitkiem...”

Do C. U. S. i K-u obaj, Jan z

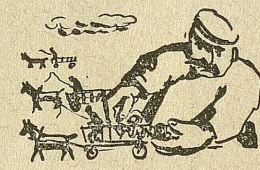
Piotrem,

Skargę na piśmie wysłał,

Na kumolerskie wybrki

Płużnickiej „Miesięj Centrali”.

Irena Mazurkiewicz



Nieużytki w GRN

Opowiadają u nas nie-
którzy starzy, że kiedyś
żył sobie człowiek spokojnie,
ponieważ nie było jeszcze
urzędów. Nie jest w tym
gadaniu prawdy? Ja sam
zyla sobie spokojnie, a
ci nie ześloście się do za-
gospodarowania odłogów.
No cóż, człowiek nie mo-
że r. trzeci spokojnie żyć
na 3 ha ziemi, a załaził
Cetilem 1,5 ha i zado-
wry z tego, że podjął
wezwanie Partii i Mi-
nistrstwa Rolnictwa, po-
prosił GRN w Wiercho-
wie (pow. Drawsk, woj.
Koszaliński), żeby mi sporza-
dził odpowiednią umowę.

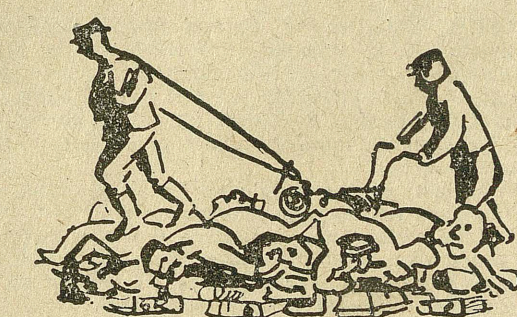
zach, pieczętując ze sobą
wzięli i w naszym imieniu
odebrali nawozy z magazynu
w Suwałkach. Następnie
roznieśli się po kumotach
z sąsiednich gromad, gdzie
dokonali tego parowania. Kiedys
to już ustalił wydelegowa-
ła mnie gromada jako ko-
respondenta, żeby uży-
skał wywiad u dzielnej
trójki.

Pytam więc Kowalew-
skiego: — Co z nawozami
dla nas? — Nie wiem —
odpowiada — Dobra, za-
pisz się podsołtysie, że nie
wiesz. A ze Stanisze-
wskim taka rozmowa: — Nie
wiesz przypadek, czy
bieda dla nas nawozy? —
Wiesz, że nie wiem. — Do-
bra, zapisane. Wreszcie ide
do sołtysa, nie zagaduję ru-
pnie naszej: — Majew-
ski, będziecie pewnie pro-
dować w wydajności z ha?
— A pewnie, że będzie.
No tak, że postępowy
chłop, nawozy dobrze
stosuje. — A jakże, podsy-
pło się nieźle. — Tak, a
skąd wzięliście? — A Ko-
walski mi przydzielił.
Kowalski? przecież on nie
nie wie, mam zapisane w
wywidzie.

Ugrzył się sołtys w je-
zyk, ale było już za póź-
no. — Putra kochany, trzy-
mał język za zębami,
dostaniecie stycznego po-
piotu i będziecie przodo-
wać!

Ale mnie się nie podoba
taki sposób przodowania.
Zresztą gdybym się zgo-
dził to nasza dzielna trójka
ka uwierzyliby w końcu
że nawozy z Suwałk przy-
nie paruje. W żaden spo-
sób nie możemy się zgo-
dzić na taki przewrót w
nauce. Raczej niech ich
podziwiamy z urzędów
Dziury w niebie nie bę-
dzie.

Aleksander Putra



Wtedy się dopiero zaczęło!
GRN odesłała mnie do swo-
jego instruktora rolnego
ob. Bogdanowicza. Tam z
kolei do kółka gromadzie-
go ZSCH, wróciłem do
gminnego, stamtąd do po-
wiatowego i z powrotem.
A umowy jak nie było tak
nie było. Wtedy rozpozna-
łem od razu od PRN Ta
odesłała mnie do WRN co
miał ten praktyczny sku-
tek, że wydałem niepo-
trzebnie pieniądze na bilet
do Koszalina, edw — jak
mnie pouczono — takie
sprawy załatwia się w ma-
cierzystej gminie. Obiecia-
łem więc raz jeszcze do
osła do posta te sama
„służbowa droga”. Nie po-
mogło. Wybrałem się zno-

13 dni i zapłaciła 50 zł. A
za wykoszenie łąki od-
dała „dobroczynię” po-
ło we zbioru Druga wdowa —
Paszenkowa nie mogła od-
rabić, gdyż jest już sta-
ba i nie miała pieniędzy,
odała więc za podorywkę
piękną ul z pszczoła-
mi.

Tak więc widzieli — że
jest kiedyś urząd tak dzia-
ła, jeszcze gorzej, gdy nie
działa. Ja myślę, że skoro
daliśmy sobie radę z ugo-
rami, poradzimy i z nieu-
żytkami w GRN. Chcieli-
bysmy bowiem żeby każdy
mógł mówić — żyjemy
spokojnie gdyż się nami
opiekuje GRN.

Feliks Pawłan